

**Sudecka
poezja i proza
XVI**

IV Konkurs Literacki

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

Sudecka
poezja i proza
XVI



Zdjęcie pochodzące z lat 30. XX w. zatytułowane „W bielawskim parku” przedstawiające staw gondolowy przy dawnym basenie miejskim znajdującym się w parku.

Ta fotografia stała się inspiracją dla autorów wierszy i prozy
z tego tomiku. Jest on pokłosiem
IV Konkursu Literackiego
Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy.

Sudecka

poezja i proza

IV Konkurs Literacki
Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

2015

REDAKCJA
dr Rafał Brzeziński
prof. Ryszard Waksmund

KOREKTA
Jadwiga Stępień
Urszula Ubych

SKŁAD I ŁAMANIE
Anna Brzezińska

OPRACOWANIE GRAFICZNE
Paulina Wojciechowska-Cudak

© Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna
Bielawa 2015

ISBN 978-83-939784-6-5

**BIBLIOTHECA
BIELAVIANA**

Miejska Biblioteka Publiczna w Bielawie
ul. Piastowska 19c
www.mbp.bielawa.pl
www.bibliothecabelaviana.info
e-mail: bibliothecabelaviana@gmail.com

Poezja

Barbara Bulerska

Tato

dziś tylko ci śpiewam o parku zielonym
gondolach sunących po błękitnej toni

o ludziach promiennych pogodnych kochanych
wyrzucam te dźwięki z przepony i krtani

sięgają wysoko pulsują w obłokach
roznosi się radość przeplata ją rozpacz

forte ciche piano jeszcze to nie koniec
na oddech sekunda szybko zmieniam fonię

sopranowo nucę wdzięcznie tobie dalej
o dobrych relacjach i więziach ze stali

i wszystkim co tworzy ten pejzaż uroczy
bo wiem że mnie słyszysz porankiem i w nocy

Wspomnienie

Leżę na miękkiej pachnącej trawie,
Patrzę, jak wiatr kołysze konary drzew.
Słoneczne promienie ogrzewają ciało me.
Śpiew ptaków wesoło rozbrzmiewa pośród drzew.
W oddali słysząc dziecięcy radosny śmiech.
Unoszę się i widzę staw, a na nim kolorowe gondole
suną po wodzie jak dumne łabędzie.
Patrzę z zazdrością na zakochane pary, które wpatrzone w siebie nie
dostrzegają mnie.
Nieopodal w zadaszonej altanie panowie przy kuflu piwa snują
opowieści
swe, dzieci z radością oblizują się, pijąc czerwoną oranżadę.
Cóż to był za czas, kiedy istniał bielawski staw!
Dziś to już tylko wspomnienie, historia, którą zasypał piach.
Może kiedyś się uda stworzyć ją jeszcze raz?

Maja Czapla

Niedziela w parku

Wszyscy do parku śpieszmy szybko,
aby popływać ukwieconą łódką.

Kolorowe chorągiewki wiatr kołysze,
niech nikt dzisiaj nie ucieka w ciszę.

Tutaj na nudę nigdy nie ma mowy,
niedzielny dzień jest wyjątkowy.

Woda lśni pięknie niczym diamenty,
więc do pływania nie trzeba zachęty.

Gdy słońce świeci i radość wkoło,
dzieci i dorośli bawią się wesoło.

Miejski las

Kiedyś w błękie basenu,
teraz w nadmorskiej przystani
siedzą na ławkach w parku
młodo zakochani.
Wpatrzeni w piękno liści
tego miejskiego lasu
niczym w innym wymiarze
tracą poczucie czasu.
Wsluchani w śpiew ptaków
zmieszany z szumem liści
czerpiemy z tego tak wiele korzyści,
chwytając liny
między drzewami,
jeżdżąc na rolkach
razem z deskami,
kształtując piękną figurę na dworze.
Właśnie w tym wszystkim
nasz park Ci pomoże.

Bielawski park

W bielawskim parku zamkowym,
kilka ulic od domu mych przodków,
w latach trzydziestych minionego wieku
płaczące wierzby i smukłe brzozy rosły.

Promienie słońca rozświećlały toń stawu,
delikatne podmuchy marszczyły taflę wody,
w gondolach opasanych girlandami liści
pływali odświętnie ubrani panowie.

Może wśród nich był mój pradziadek
o wzroku skupionym i spojrzeniu bystrym,
z nadzieją patrzący w nieodległą przyszłość,
pełen wiary w siłę młodości?

O czym mógł wtedy myśleć, rozmawiać
w tej cudnej niczym marzenie scenerii,
Gdzie między drzewami wkoło altany
wesoło powiewały barwne chorągiewki?

Kurs obrany w kierunku wiadomym,
przyszłość nęci jak tajemna wyspa.
Czy szczęście czeka tuż za rogiem?
Czy z serc radosnych nadzieja nie prysła?

Dzisiaj to ja spaceruję wolno po parku,
z zachwytem spoglądam na jesienne liście
i choć czas nie stanął w miejscu,
to wiatr jak wtedy taflę stawu pieści.

A drzewa od lat o tym samym szumią:
że żyli tu ludzie tacy jak i teraz,
śmiali się, kochali, mieli marzenia,
a Bielawa też była ich małą ojczyzną.

Bielawa

Ach, to Bielawa!
Miasteczko niewielkie,
mieszkańców ma sporo
i atrakcji wiele.
W parku łódki po stawie pływają,
dzieci się bawią
i rybki pływają,
a na drzewach ptaki śpiewają.
I krasnoludki też się skradają.
Nad brzegiem stawu ławeczki stoją,
na dzieci, na zabawę, na zwierzęta czekają.
Jedna łódeczka pusta stoi,
tylko pan wietrzyk tam trochę broi.
W parku wiewiórki po drzewach skaczą
i jak kukułki orzeszki do cudzej dziupli wkładają.
Daję słowo, że to prawda,
bo co dzień przez okno to wszystko widuję:
i drzewa i wodę, i łódki,
bo Bielawa to miasto moje ojczyście
i rodzinie mojej bliskie.

Tafla jeziora

Tafla jeziora,
tafla jeziora.
Widzę tych ludzi, tę radość widzę,
ale pod taflą tego jeziora
ktoś tonie.
Ty toniesz!
Uciekasz od ludzi, radości, smutku,
a ja tonę z tobą,
bo mi ciebie szkoda,
że jesteś samotny pod taflą jeziora.

Wolę (chcę!) tonąć w tych wodach,
niż patrzeć, jak kończy ci się powietrze;
i stać, i czuć,
że choć wyciągam rękę,
fale cię odpychają.
Lepiej skoczyć (nie potrafię pływać!),
niż stać na lądzie pokoju serca
samotnie.
Nie wierzę w taki ląd
bez ciebie.

Umrzemy oboje,
gdy woda wypełni płuca,
przetrwamy,
wspólnie wypływając ponad
taflę jeziora.

Maria Grabowska

W bielawskim parku

Z łezką w oku podziwiam urok starego zdjęcia.
Jestem przekonana, że było to miejsce
Cudownych przeżyć, wielkich czynów
I spełnionych marzeń.
W takich momentach chciałoby się
Zanucić piosenkę: „Powróćmy jak za dawnych lat
W zaczarowany piękny świat...”
Albo chociaż tylko na chwilkę
Przenieść się w czasie,
Doświadczając szczęścia ludzi
Płynących gondolą wzdłuż stawu.
Szkoda, że tamten magiczny
Piękny świat
Zachował swój urok
tylko na fotografii.

O miejscu zwanym Parkiem Miejskim

W Bielawie przed laty
w urodziny mego taty
pewien mędrzec postanowił,
że coś w swoim życiu zrobi.
Posłał więc po architekta
(który zdolny był od dziecka),
aby stworzył coś pięknego
i coś tak nadzwyczajnego,
co by ludzi ucieszyło
i by wszystkim było miło.
Sprężył się twórczy mężczyzna
i gdy ziemia była żyzna,
stworzył miejsce Parkiem zwane,
przez bielawian podziwiane.
Znalazła się tam fontanna z kamienia,
która, gdy wrzucisz grosik, spełnia życzenia.
Są tam też gondole i ławki,
gdzie przylatują nawet kawki.
Miejsce to piękne jest do dzisiaj,
więc z rodziną tam zawitaj.

Krzysztof Jadwinczyn

W bielawskim parku

W pięknym mieście Bielawie
uroczy park się znajduje,
a w nim staw głęboki
urokiem swym wszystkich ujmuje.

W słoneczny niedzielny poranek
do parku bielawskiego
przybywa wielu mieszkańców,
by znaleźć coś ciekawego.

Jedni spacerują po parkowych drózkach,
inni pływają po stawie
kajakami albo też łódkami,
odpoczywając potem przy kawie.

A w oddali widać bar,
gdzie spragnieni i głodni,
mogą się ludzie spotkać
i poczuć się swobodnie.

Szczęście na twarzach widnieje,
piękne to są chwile,
kiedy w niedzielę słoneczną
czas można spędzić mile.

Nadal czuję

Znów to czuję.
Nieustannie, za każdym razem.
Mrowienie w palcach, te motyle w brzuchu,
Oddech przyspieszony...
Czy ty może też to czujesz?
To... to niezatarte wspomnienie
Wywołuje we mnie
Nadejście fali różnych uczuć.
Gdy tylko sobie przypomnę
To miejsce...
Od razu czuję zapach,
Piękny, intensywny zapach świeżego powietrza,
Wody,
Nie zawsze czystej.
Przed zmrużonymi oczyma widzę...
Widzę dokładnie tych samych ludzi
Stojących w pobliżu wody,
Razem,
W gondolach na wodzie.
Ludzi zakochanych, radosnych.
Biła od nich nadzieja
Na lepsze jutro,
Szczęście mimo kłopotów
Obecnych w życiu każdego.
Każda sekunda spędzona z bliskimi
Trwa w naszym sercu dłużej niż godzina smutku.
Samo wspomnienie sprawia,
Że wszystkie kłopoty idą w cień.
Stoję pod zadaszeniem, patrzę przed siebie

I liczy się dla mnie tylko to, co teraz widzę.
Pytasz mnie, o jakim miejscu mówię?
I pewnie myślisz, że to coś odległego?
Nie, uwierz mi.
To tu,
W tym parku
W naszym małym mieście
Było to najwspanialsze miejsce
Pełne wiecznej radości.

Czarno-biała historia

Bielawa na pocztówkach
stare fotografie
Czarno-biała historia

– jej oprzeć się nie potrafię.

Stare miasto widokiem zachwyca
– mych przodków tajemnica.
Historia na zdjęciach zapisana
– o niej mówiła mi babcia, mama.

Miejsca piękne, urocze,
po których dziś raźnie kroczę.
Podziwiam me miasto i tęsknię ogromnie
za parkiem, który z obrazu
przemawia do mnie.

Pośród zieleni, pomiędzy brzoza
spacerują bielawianie roześmiani.
Wyjęci ze starej fotografii,
tacy inni, szczęśliwi, w czasie zatrzymani.

Szczęście rodzinne w gondolach się kołysze,
śmiechy dzieci roztrącają ciszę.
Wiatr łagodnie po falach przemyka,
z obrazu się sączy ulotna muzyka.

Drzewa słyszą miłosne wyznanie,
będą milczeć przez wieki wzruszone,
niejedną historią upojone.

Już wiem, za czym babcia
tęskniła ogromnie,
gdy wieczorami mówiła do mnie
o historii, młodości, miłości,
o miejscu, w którym szczęście gości.

Też będę zakochana
i pójdę do parku
z mą córeczką małą.
I opowiem jej historię już znaną...

Piotr Krakowiak

W bielawskim parku

Stań przed obrazem
i zamknij oczy,
a świat jak z bajki
cię zauroczy.

Między drzewami,
na parkowej polanie,
w niedzielne popołudnie
wypoczywają bielawianie.

Pomiędzy drzewami spacerują,
trzymając się za ręce, zakochani.

Po tafli jeziora cienie przemykają –
to roześmiane rodziny gondolami bujają.
Tym sielskim widokom
Oprzeć się nie potrafię...

Zamykam oczy i przenikam w fotografię.

Szymon Kuriata

Pory roku w bielawskim parku

Bielawski park pełen jest uroku,
Uroku w każdej porze roku.
Wiosną budzi się do życia
I zaprasza na spacer.
Każdy widzi, jak się stara
Zrobić miejsce słońcu, zieleni.
Latem zawsze nas nastraja
Do zabawy i beztroski.
Kiedy mamy wolną chwilę,
Ćwiczyć, biegać, można tutaj,
A po chwili usnąć mile.
Później można wsiąść w gondolę,
I popływać nią po kole.
Jesień szybko już się skrada.
Liście lecą kolorowe,
A kasztany i żołądźcie są dzieciom
Bardzo drogie.
Zimą park do snu się składa,
Jednak dalej nas zaprasza.
Wszystko śniegiem się pokrywa,
A zabawa ciągle nasza.
Cudne jest to nasze miejsce
czy to lato, czy to zima!
Każdy skrawek tego parku,
Piękne chwile przypomina.

Dawno temu w Bielawie

Zaraz po wojnie w bielawskim parku
Było tak gwarno jak w lunaparku.
Czy w dni powszednie, czy w dni świąteczne
Działy się tutaj rzeczy bajeczne.
Były jeziora, po których łódeczki
Pływały niczym morskie stateczki.
Wśród drzew zieleni był duży basen,
Tu lud z Bielawy chłodził się czasem.
Gdy letni gorąc srodze doskwierał,
Każdy popływać tam się wybierał.
Wszyscy skakali jak się należy
Z trampolin trzech basenowej wieży.
Obok kawiarnia, więc hop! na lody.
Później na drzewach szukać przygody.
Tv nie było, gierek, smartfonów,
Lecz każdy chętnie wychodził z domu,
By spotkać kumpli, trochę pogadać,
W piłeczkę pograć i porozrabiać.
Minęły lata i w bielawskim parku
Nie było gwarno jak w lunaparku.

Zniknęły łódki, basen zniszczono,
Latarnie zbito i bar spalono.
W końcu OLSNIENIE: „COŚ ZROBIĆ TRZEBA!!!
W mieście Bielawie tak żyć się nie da!!!”
Włodarze poszli po rozum do głowy
I zbudowali: luksus trakt linowy,
Alejki, oświetlenie nowe,
Skejt park, siłownię plenerową.
A w miejscu, gdzie się kąpały kaczki,
Znow zagościły łódki, kajaczki...

Aleksandra Lewicka

Mój wymarzony park

A może by tak odpocząć trochę,
w bielawskim parku, z historią w głowie?

Pomyśleć sobie o chłodzie wody
i jeść tam lody dla ochłody.

Można popływać piękną gondolą,
pod parasolką schłodzić czoło.

Staw jest spokojny, wokół wesoło,
drzewa nam szumią, jest kolorowo.

Przenieść się można w lata trzydzieste,
urządzić piknik, słuchać orkiestry.

Spotkać ciekawych ludzi Bielawy,
Już zapisanych na kartach sławy.

I spokój ducha zaraz odzyskasz,
gdy fotografii przyjrzyysz się z bliska.

W parku

Patrzę na stare zdjęcie,
to bardzo dobre ujęcie.
Jest niedzielny poranek, w parku w Bielawie
będą dziś zabawy, śniadanie na trawie.
Gwar dookoła, piękna pogoda
i ta jeziorka niezmącona woda.
W taką pogodę
wszyscy chętnie idą nad wodę.
Ten staw parkowy, co w słońcu się mieni,
jest otoczony opaską zieleni.
Z Kawiarni Parkowej muzyka płynie radosna.
Ojciec mocno chwycił za wiosła,
aby dzieci rozbawione
przewieźć na drugą stawu stronę.

Maria Maciejewska

Magiczne miejsce

Gwar rozmów, cień drzew i bliskość wody,
W tym miejscu mieszkańcy szukają ochłody.
I duży, i mały, i pan, i pani
Bielawskim parkiem są oczarowani.

Każdy z was tutaj znajdzie coś dla siebie:
Drzew zieleń, śpiew ptaków czekają na Ciebie,
Jest pijalnia dla tych, co smakują w trunkach,
Jest i przystań dla tych, co pływają w łódkach.

Pamiętam niedzielę: gondolą pływałam,
W łódce spostrzegłam chłopca, którego nie znałam.
Był do mnie podobny, lecz dziwnie ubrany,
Rozglądał się wkoło, chyba był zaspany.

Ktoś zrobił nam zdjęcie, kiedy pływaliśmy,
Gdy dobiliśmy do brzegu, porozmawialiśmy.
Mikołaj miał na imię, tak przedstawił mi się,
Żartował, że przypominam mu siostrę, Marysię.

W tym czasie ulicą szły słonie cyrkowe,
Ktoś krzyknął, że z fontanny wypłyły nam wodę.
Biegłam tam z Mikołajem, mówił do mnie „siostro”,
Ale nagle on zniknął, ślad po nim nie został.

W tę opowieść moją nikt dziś nie uwierzy,
Jednak na tym szczególnie już mi nie zależy.
Ja wiem, że park w Bielawie to miejsce prześliczne,
A przede wszystkim o tym: jest ono MAGICZNE.

W bielawskim parku

To... nie bajka ni legenda
w dawne czasy owinięta.
Nie było to za lasem, za rzeką,
ani za górą daleką.
Już tak wiele lat minęło,
a park nasz to istne człowieka i natury dzieło.
Gondole, woda, słońce i cisza
to niebiańska dla uszu muzyka.
Drzewa, staw i łąka
miejsce to nadal wszystkich przyciąga.
Kiedy wracasz do tamtych dni,
w oczach kręcą ci się łzy.
W gondoli płynie zakochana para.
Ona głos ma anielski,
on to duch miejski.
Miłość mocno ich serca łączy
I już tego nic nie rozłączy.
Drzewa szumią, wietrzyk wieje,
a w parku wciąż czyjaś historia życia się dzieje!
Musicie sami przyznać: miejsce to magiczne.
Jest w nim nie tylko pięknie, lecz i romantycznie.

Szkoda tylko, że dzisiaj już nie ma gondoli,
a i czas jakoś nie biegnie powoli.
Wszystko się zmieniło, zostały wspomnienia
i piękne letniej muzyki brzmienia...

Bielawska zagadka

Ma wodę błękitną,
lecz niekoniecznie pitną.
Wokół niego w zieleni
park się promieni.
On czeka, aż go ktoś odwiedzi
albo obok na ławce posiedzi.
Popatrzy na innych, jacy są weseli,
i pochwali parku założycieli.
Wystarczy zapłacić i pływać do woli,
upajać się zapachem pięknych topoli.
Można potem czas spędzić w kawiarence,
i z przyjaciółmi poplotkować wielce.
Co to jest? Nie zgadniecie.
To jest Staw Gondolowy
najpiękniejszy w świecie!

Bielawskich wspomnień czar

W stawie gondolowym
woda podstuchuje
dyskretne rozmowy
pływających w koronkowo
ozdobionych łódkach,
pięknych i wspaniałych.
To niemieccy pływacy
odpoczywają
po znojnym treningu.
Kawiarenka owalna,
z pięknymi kolumnami,
chroni wyznania miłosne
krążące w tęczowych
sukniach balowych
i dostojnych frakach,
idealnie połączone
rytmem upojnego tanga.
Siwe drzewa skwapliwie
w listkach przechowują,
wspomnienia państwa
Sandreckich,
pierwszych właścicieli,
ich pląsy, zabawy,
pieszczotliwy dotyk dłoni.
Głęboko w parku ukryte
straż pełnią nieprzerwanie
archaiczne dęby szypułkowe,
pilnują porządku,
zbierają wspomnienia.

Po zmroku
nad tajemniczą taflą,
unoszą się szepty
minionych cieni.

Lata trzydzieste, lata trzydzieste

W niedzielnym słońcu skąpani
Szczęśliwi, czas langsam leci.
Rok był trzydziesty drugi,
Może trzydziesty trzeci.
 Szczęśliwi czasu nie liczą,
 Wawrzyny wplatają we włosy,
 Pychę się karmią, dzikim okrzykiem,
 Chłodem porannej rosy
Prawda orężem pokoju?
Śmieje się, kto kęsem dławi się tłustym.
Lecz nie wszystkim do śmiechu było
W trzydziestym piątym, w trzydziestym szóstym.
 Gdy na stawach łabędzie białe,
 W parku girland sznurek nowy,
 Z ulicy niósł się żelaznych butów
 Stukot miarowy.
Rytm niósł się równiutki, wszak porządek być musi,
Ludzie głowy zwrócili, gdzie grają,
W oczach duma i radość, jest gotowość do czynu,
Dłonie same do nieba strzelają...

...świadomi rzeczy inaczej
Odpalili lonty
W pamiętnym roku
Trzydziestym dziewiątym...

...jawohl, jawohl, ich liebe rock'n'roll

Natalia Pasek

W bielawskim parku

Na starej fotografii
W parku przy ładnej pogodzie
Spotkali się mieszkańcy
By pluskać się w wodzie

Kolorowo tam być musi
Chociaż zdjęcie szaro-białe
Na łódeczkach i kajakach
Pływają rodziny całe

Pobiegnę do brata, mamy oraz taty
By wyciągnąć ich na spacer
Taki jak przed laty

Świnka z nami iść nie może
Woli garnki zmywać
Cierpi na morską chorobę
I nie lubi pływać

Pełen uroku letni obrazek

nad wodą przejrzystą
odbijającą świetliste niebo
panowie z damami
spacerowali bulwarem

orkiestra grała
starego walczyka
danserzy tańczyli
w chińskim pawilonie

odpoczynku szukano
w błyszczącej toni stawu
pływano w łódkach
oplecionych kwieciem

miłe wspomnienia
zatrzymała fotografia
bielawskie krajobrazy
w letniej porze roku

Jest w Bielawie park wspaniały

Jest w Bielawie park wspaniały,
a w tym parku staw niemały,
W stawie tym kaczuszek wiele.
Nadlatują latem trzmiel,
Roi się tu od motyli,
wszyscy na nie by patrzyli.

Ludzie płyną w małych łódeczkach,
kryjąc uśmiech w swych dołeczkach,
bo to przecież świetna sprawa.
Całkiem niezła to zabawa
Płynąć tak i choć przez chwilę
zapomnieć o problemach, których każdy ma tyle.

Kiedy płynę po naszym stawie,
wraz z przyjaciółmi się świetnie bawię.
Każdy uśmiech ma na twarzy
i o cudach świata marzy.
Myśli sobie, jak tu błogo! jak tu pięknie!
Aż każdemu serce mięknie,
bo ta rozkosz nie trwa wiecznie,
i się kiedyś skończy wreszcie.

Lecz to nie czas, nie ta miła,
by skończyła się ta chwila.
Płyńmy dalej po kres świata,
niech i trzmiel koło nas lata,
niech kaczki kwaczą wniebogłosy,
niechaj bzyczą przyjazne osy.

Niech każdy z uśmiechem na twarzy
pomyśli, o czym marzy.
Bo tutaj, na naszej łodzi,
marzenia spełniają starzy i młodzi.
Przynajmniej tak myślą przez krótką chwilę,
kiedy latają wkoło motyle
i wszystko wydaje się idealne,
niezwykłe, piękne i niebanalne.

I kiedy kończy się nasza żegluga,
dzięcioł ze smutku dziobem w drzewo stuka,
bo się skończyła magiczna przygoda
i znów wróciła niepogoda.

Kaczuszek mało, mało jest trzmieli,
i już się prawie nikt nie weseli.
I każdy myśli, kiedy ponownie
zasiądzie w łodzi dumnie, wygodnie
i znów zapomni o smutkach i złości,
i kiedy znowu na twarzy uśmiech szczery zagości.

Historia pewnego parku

Park nasz bielawski taki jak inne,
Choć tak starają się władze gminne.
Niby zadbany i czysto wokół,
Jest i fontanna, nieco uroku,
Lecz duszy dawnej nie ma już wcale,
Choć spaceruje się po nim wspaniale.
Ja jednak lubię te stare zdjęcia,
Gdzie park nasz widać w innych ujęciach.
Świat całkiem inny na nich, człowieku,
Świat z lat 30. tamtego wieku,
Gdzie żywot był radosny, spokojny,
Choć się zbliżało już widmo wojny.
Tam park bielawski był miejscem znanym,
Słonecznym, barwnym i uczęszczanym,
Gdzie piękne damy strojne, stylowe
Nosiły swe kapelusze nowe
I gdzie panowie w koszulach białych
Tak elegancko łódką pływali.
Staw gondolowy tu miasto miało,
Miejsce to zimą ślizgawką się stało.
W parku drewniana była kafejka,
Co na te łódki miała okienka.
Staw ten przepiękny zmieniono z czasem,
Powstał lubiany tu miejski basen.
Piękne to miejsce, barwne, radosne,
Życie rodziło się tu na wiosnę
I do jesieni, nim się schłodziło,
Świetną rozrywką bielawian było.
Dziś park rozwija się i pięknieje.

Patrzac na zdjecia, mamy nadzieje,
Ze tamtym pieknem nas tu ugości
I blask odzyska dawnej swietności.

Barbara Rupa-Wróblewska

Zakątki Bielawy...

Kajaki-majaki z przeszłości,
Spacer z Nim pełen przyjaźni
Bez zazdrości i przyszłości.
40 lat minęło, odeszło, nie wróci,
A woda pozostała ta sama,
Tylko głębsza, większa, szersza
I będzie nowy spacer.
Już umówiony,
Ale teraz
Pełen przyjaźni oraz zazdrości,
Nadal bez przyszłości.
Rowery wodne
ciekawa rozrywka
Więc będzie
dogrywka...

Bielawski park

Bielawski park, dostojny jubilat
ma już około 85 lat.
Dawniej w parku wiele osób bywało
i na tarasie Kawiarni Parkowej przyrodę podziwiała.
Miło ludzie czas spędzali,
a przy okazji się integrowali.

Był basen z trampoliną,
gdzie każdy mógł spędzić miło czas z rodziną.
Obok basenu dwa stawy się znajdowały,
gdzie kajaki i kolorowe kaczuszki pływały.
Wielka kolejka do kajaków stała,
bo była to atrakcja w tamtych czasach niebywała.

Dzisiaj atrakcje wróciły,
kiedyś nas opuściły,
a teraz bielawian znów połączyły.

Jest w parku ławek wiele,
ażeby można było odpocząć,
po pracy, szkole, ale też po mszy w niedzielę.
Może tam odpocząć zwiedzający Bielawę turysta,
zmęczony podróżą, bo ławki do tego służą.

W naszym parku zamieszkują kuny, wiewiórki, łasice i kaczki
oraz owady i inne robaczki.

W koronach drzew ptaszki śpiewają
i przechodniów na swój koncert zapraszają.

Oko z bielawskimi wspomnieniami

Szara fotografia, co czas zatrzymała
I pływającymi wspomnieniami się odzywa.
Tych ludzi, co dryfując, o radości coś plotą,
Wizerunki wizytówką miasta się stają,
Wiele lat minęło, a te same klimaty zachwycają.

Święto tu dnia codziennego trwa,
Bo tu jest ten magiczny element, co łączy nas,
A wodę z brzegiem, choć kamień oddziela, to zlicuje.
Czy to zapach w te dni był inny, czy wygląd?
I to pytanie też magią czasu przerasta.

Park z wodą wspomnieniem, choć nadal trwa.
Nie postarzał się, a wymodniał z wiekiem.
Miasto z niejednej wizytówki słynie.
Przetrwają wspomnienia, a obraz ten nigdy nie zginie.

Cieszą się mieszkańcy Bielawy,
że park wrócił do dawnej sławy, świetności,
bo mamy gdzie wypoczywać i zapraszać gości

Tajemnicza skrzynia

Pachnący kurzem strych, jeden promień słońca.
Tajemnice dawnych dni i pozostawionych wspomnień.
Stara skrzynia pokryta pyłem, a w niej zatrzymany czas.
Zasnąłem...
Znalazłem się wśród nieznanomych ludzi.
Widziałem gondole ubrane w kwiaty, drzewa przeglądające się w lustrze wody.
Słyszałem śmiech, pluskanie, rozmowy,
radosne krzyki dzieci i cichy ton a-mol kojącej dla ucha muzyki.
Poczułem zapach świeżego powietrza, leciutki wiatr,
grzejący promień słońca.
Obudziłem się...
W dłoniach trzymam poślisk fotografii.
Ona uświadomiła mi, że czas przemija.
Jestem w tym samym miejscu co autor zdjęcia,
lecz obraz mam przed oczyma nieco inny.
Czuję powiew tamtych lat i zapach kwiatów z gondoli,
słyszę ustający ton a-mol i krzyki.
Nigdy nie poznam tych, którzy są bohaterami
uwiecznionymi w kadrze.
Pył znów pokrył wspomnienie.
Zatrzasnął je w skrzyni.
Tylko ten sam promień słońca... ogrzewa.

Julia Urbanowicz

Nasz park

Nasz park nie jest skromny,
Lecz zielony i ogromny.
Tam zawsze znajdę cień
Nawet w najbardziej upalny dzień.

Nie ma tu miejsca na smutki,
Bo on jest taki wesolutki...
Każdy z nas to wie,
Nawet kret, który pod drzewem kopie.

Po stawie łódka płynie...
To właśnie z tego nasz park słynie.
Więc chcę, żeby tak pozostało
I nic mi parku nie zabrało!

Wspomnienia

Kiedy patrzę na to zdjęcie, radość rozpiera me serce.
Myślę wtedy, jak to było, czemu wszystko się
zmieniło?

Wtedy było tak wspaniale, każdy czuł się doskonale.
Każdy na gondoli pływał i nasz piękny park
podziwiał.

Ludzie byli bliźsi sobie, w czynie, myśli, no i w mowie.
Wszyscy razem się bawili. A dziś czemu się zmienili?
Teraz wszyscy zagonieni i pieniędzy są spragnieni.
Brat na brata patrzy „z byka” i w swój mały świat
umyka.

Niech się wszystko to wnet zmieni!
I każdego los odmieni.

Niech znów ludzie się kochają, na gondolach znów
pływają.

Jakub Wojtanowski

Sposób na nudę

W bielawskim parku
gdzie mnóstwo kasztanów
i żołądzi

panowie przychodzą
na ławce siadają
i podziwiają

w parku tym
spokój i cisza
błoga

żony w domu
nikt nie narzeka
nie głędzi

okolica urocza
staw co odbija
słońca blask

drzewa wokół
i świeże powietrze
czegoż więcej do szczęścia potrzeba

staw, rośliny i zwierzęta
znajdziesz tu same cuda

ale po chwili
wkrada się nuda

wnet panowie wymyślili
że zejść z lądu im potrzeba

i kajaki i gondole
wypłynęły na wodę

panowie sami
roześmiani

klub wioślarski założyli
i zawody urządzili

odtąd co niedziela
jak nie chcesz słuchać żony ględzenia

przyjdź, popływaj na gondoli
pływanie cię uspokoi

Marność

Odpocznę, popatrzę,
nabiorę natchnienia,
gondolą popływam
już tylko w wspomnieniach.

Usiądę na chwilę
wśród klonów, wśród grabów,
świat wciąż niepoznany
tak szybko się zmienia.

Wiatr drzewa ugina,
kos śpiewa zalotnie,
co było, nie wróci,
przeżywam samotnie.

Czas, choć cierpliwy,
bezwzględny, złowrogi
ucieka bezsumnie
goniony daremnie.

W radości jest siła
przelotna, za krótka,
nietrwale to liście
żywota człowieka.

Gonimy za szczęściem.
szukamy uciechy,
znikają obrazy
i kto ma pocieszyć?

Próbuję zrozumieć,
uchwycić ulotne,
krajobraz beztroski
znikł bezpowrotnie.

Marność, śmiertelność,
niemożność powrotu...
coś się skończyło,
już nie ma odwrotu.

Monika Zagała

W kolorowym parku

Park miejski w Bielawie
ma wielu gości.
Mnóstwo w nim dzieci
pełnych radości.

Bo piękny park mamy
i z chęcią z niego korzystamy.

Wypożyczamy w nim kajaki
i wiosłujemy po dużym stawie,
i humor jest nie byle jaki.
Czas prędko płynie na zabawie.

Maluchy na linach się huśtają.
Wesołe minki przy tym mają.

Piękny park zaprasza was,
bo kolorowo jest wokoło.
Na pewno miło spędzisz czas
i zawsze będzie tam wesoło.

Proza

Wiosenny festyn

Był pierwszy dzień wiosny – czas piękny i pogodny, który zawitał do naszego miasta. Słońce rozświetlało każdą uliczkę i kierowało się w stronę drzew i krzewów. Zachwycone ptaki świergotały radośnie i fruwały. Co jakiś czas robiły sobie przerwę, przysiadając na drzewie, i rozkoszowały się anielską pogodą. Nikt się nigdzie nie spieszył. Wszystko wokół było cudowne.

Tego dnia w naszym parku miał się odbyć festyn. Z tej okazji na każdej ulicy wywieszone były ogłoszenia: „Zapraszamy na zabawę...”. Postanowiłam, że ten dzień spędzę na rozrywce z mieszkańcami Bielawy. Zadzwoiłam do mojej przyjaciółki Kasi, pytając, czy miałaby ochotę iść na festyn. Zgodziła się. Chciałam ubrać się wiosennie. Weszłam do mojego pokoju, otworzyłam starą szafę i wybrałam z garderoby to, co mi się spodobało. Pierwsza była sukienka – czarna z kolorowymi kwiatkami, jednak okazała się za duża i nie wyglądałam zbyt wiosennie. Później wypatrzyłam bluzkę z różnymi wzorkami. Postanowiłam, że wybiorę właśnie ją.

Na moim zegarze wybiła godzina szesnasta. Chwyciłam torebkę i zeszłam na dół. Zastałam tam Kasię, która niedawno przyszła po mnie. Idąc w kierunku parku, mijaliśmy ludzi, którzy szli na festyn, uśmiechając się promiennie. My także byliśmy wesołe. Po kilkunastu minutach dotarliśmy na miejsce. Usiadliśmy na ławce przy stawie gondolowym. Wszędzie były rozwieszone ozdoby. Bujne liście drzew zwisały ku ziemi. Zabawa się rozpoczęła. Mieszkańcy rozmawiali ze sobą, wzajemnie częstowali się swoimi domowymi wypiekami. Odbyły się również konkurencje w pływaniu na łódce. Zawody polegały na tym, aby jak najszybciej przepłynąć z osobą towarzyszącą cały staw. Wraz z Kasią postanowiłyśmy spróbować, w końcu czemu nie! Wsiadłyśmy do łódki i konkurencja się rozpoczęła. Płynęłyśmy ile sił i bawiłyśmy się

świetnie. Mimo że nie wygrałyśmy, to i tak czułyśmy zadowolenie. Za udział w zawodach zostałyśmy poczęstowane słodyczami. Minęło parę godzin. Festyn, niestety, powoli się kończył, dlatego razem z Kasią poszłyśmy w stronę naszych domów.

Bawiłyśmy się naprawdę doskonale! Nigdy nie zapomnę tego dnia i z pewnością będę go dobrze wspominała.

Miłe wspomnienia

Jest niedziela 23 lipca 1939 roku. Jestem zachwycona, bo mój przyjaciel Franek zaprosił mnie na miły spacer do naszego pięknego parku. Pogoda jest cudowna, promienie słoneczne miło grzeją, więc mam nadzieję na przyjemne i niezapomniane chwile tego popołudnia. Franek to dobry i bardzo towarzyski człowiek. Spotkaliśmy się w umówionym miejscu blisko parku. Gdy tak miło spacerowaliśmy, na ławce ujrzałam siedzących przyjaciół, którzy dali się namówić na spędzenie z nami popołudnia. W parku było wspaniale, ale robiło się gorąco. Honorata i Adam zaproponowali, że popływamy gondolami. Pamiętam moje zdziwienie. Bardzo bałam się wody, ale pomysł był naprawdę fajny, a do tego był przy mnie uroczy Franek. Słońce grzało coraz mocniej, lekki wiatr rozwiewał mi włosy. Kaczki pływały w oddali, a drzewa pięknie mieniły się w promieniach słonecznych. Przez chwilę pomyślałam: „Marysiu, oby ta chwila trwała wiecznie!”

Chłopcy opowiadali różne ciekawe historie, a ja z Honoratą słuchałyśmy uważnie. W altanie tuż obok stawu można było sobie posiedzieć, porozmawiać albo posłuchać pięknego śpiewu ptaków, dlatego postanowiliśmy tak zrobić. Ludzi tego dnia nie brakowało nad stawem. I wcale się nie dziwiłam, bo to naprawdę dobre miejsce na spędzenie niedzieli. Dobrze, że tu przyszliśmy i mogliśmy powspominać z przyjaciółmi stare czasy, a do tego bliżej poznałam Franka. Myślę, że trzeba szybko powtórzyć tę wycieczkę.

Nie taki dzień straszny, jak się zapowiadał

Był to jeden z tych nudnych, deszczowych, listopadowych dni, kiedy cały świat traci swój sens i swoje kolory. Jechałam właśnie samochodem wpatrzona w spływające po szybie krople. Nagle – samochód gwałtownie zahamował. Nastąpiło to tak szybko, że uderzyłam głową o oparcie siedzenia. Na szczęście nic mi się nie stało.

– Co to było? – spytałam.

– Sam chciałbym wiedzieć. Wyglądało na jakieś małe zwierzę. Możliwe, że to kot albo pies, albo... sam nie wiem – odpowiedział tata.

– Zobacz, skarbie, coś za piękne miejsce! – odezwała się mama, spoglądając przez okno.

Kiedy przez nie wyrzłam, zobaczyłam park. Wyglądał tak smutno i przygnębiająco! Przynajmniej tak mi się zdawało. Mama patrzyła na ten park z fascynacją i podziwem, a mnie on zbyttnio nie przekonał, lecz zraził.

– Już dojeżdżamy. Babcia z dziadkiem na pewno się ucieszą z twoich odwiedzin. Nawet nie wiesz, jacy są szczęśliwi, że cię zobaczą i będą mogli spędzić z tobą czas – powiedziała mama z wielkim poekscytowaniem.

– Ta, jasne... – mruknęłam.

I wtedy samochód skręcił, a zza pobliskich drzew wyłonił się nie za duży domek. Wyglądał na dość przytulny i zadbane. Gdy pojazd się zatrzymał, wysiadłam, otwierając parasolkę, i wyciągnęłam z bagażnika moją niebieską walizkę. Na progu stali dziadkowie, witając nas ciepłymi uściskami. Zaprośili nas do środka. Dziadek zabrał ode mnie walizkę i płaszcz, a babcia zaprosiła rodziców do salonu.

– Czego się napijecie? – zapytała.

– Och! Ja poproszę kawę – powiedziała mama.

– Ja dziękuję – odpowiedział tata.

– A ty, panienko, czego sobie życzysz? – zapytał mnie dziadek.

Poprosiłam o kubek gorącego kakao. Babcia poszła do kuchni przyrządzić napoje, natomiast dziadek zaprowadził mnie do mojego pokoju, który wyglądał oszalałamijaco. To pewnie stary pokój mamy, ale i tak był przytulny. Na półkach znajdowały się połówki książki, a na ścianie wisiały stare zdjęcia. Zaciekawiona zaczęłam przeglądać szafy i co znalazłam?! Stare ubrania, ale jakie! Z głębi wielkiej szafy wyciągnęłam białą suknię, którą zaraz zaczęłam przymierzać. Była oczywiście o kilka rozmiarów za duża, ale uważam, że było mi w niej całkiem do twarzy. Zbiegłam na dół, by się w niej pokazać rodzicom, ale nie zastałam ich w salonie. „Na pewno już pojechali” – pomyślałam. Zza kuchennych drzwi wyłoniła się babcia, która zaczęła dziwnie się we mnie wpatrywać. Natychmiast zawołała dziadka, by zobaczył (jak to ona określiła) ducha. Spojrzałam w lustro. Moje odbicie wydawało mi się zupełnie normalne. Babcia złapała mnie za rękę, zaprowadziła do salonu, wzięła jedno ze zdjęć stojących na komodzie i usiadła koło mnie. Zdjęcie przedstawiało jakąś parę. Kobieta miała na sobie tę samą suknię, tylko była uczesana w kok. Dziwne, bo była do mnie zadziwiająco podobna. Nie zadawałam pytań, gdyż ogarnęło mnie uczucie zmęczenia. Podziękowałam babci i dziadkowi za kakao, które mi przynieśli, ucałowałam każde i postanowiłam iść na górę, położyć się. To był ciężki dzień, a pogoda jeszcze gorsza. Powoli zamykały mi się powieki. Kiedy już prawie usypiałam, usłyszałam skrobanie w okno. Otworzyłam oczy i ujrzałam małego kotka. Szybko wpuściłam go do środka, pobiegłam po ręczniki i osuszyłam go. Był taki śliczny i taki bezbronny! W końcu położyłam się i zasnęłam głębokim snem, a kotek wtulił się w koldrę przy moich nogach.

Następny dzień również zapowiadał się deszczowo. Pomyślałam: „Kolejny dzień do bani”, ale coś połaskotało mnie w stopę. Kotek na pewno był głodny. Zeszłam z nim na dół i opowiedziałam wszystkim babci i dziadkowi. Jak na razie kotek zostaje ze mną. Postanowiłam nazwać go Ulysses. Było już południe, a ja dalej nie wiedziałam, co robić. Siedziałam na podłodze i bawiłam się z Ulysessem, ale i tak miałam znudzoną minę. Dziadek siedział w fotelu i czytał gazetę, a babcia właśnie szydełkowała. W końcu dziadek powiedział:

– Czy pamiętasz to zdjęcie, które ci wczoraj pokazaliśmy?

– Tak, oczywiście. I co z tego? Nie było w nim nic nadzwyczajnego – odpowiedziałam.

– A czy przyjrzałaś się innym fotografiom?

– Chyba najbardziej interesuje mnie fotografia stojąca na kominku. A dlaczego pytasz?

Z uśmiechem na twarzy kontynuował:

– Czy jadąc tu, nie zauważyłaś może nieopodal parku?

– Chodzi ci o ten nudny i przygnębiający las? Tak, widziałam.

– Kiedyś to był park nad parkami! Ludzie każdego lata urządzali tam festyny, rozmaite uroczystości, a nawet wodne konkurencje i przejażdżki gondolami.

– Naprawdę? A opowiesz mi coś o tym, dziadku? I o zdjęciu, które stoi na komodzie?

– Jeżeli naprawdę tego chcesz – odpowiedział, odłożył gazetę i poprawił się w fotelu.

Wzięłam szybko koc z kanapy, pobiegłam po kubek gorącej herbaty i usadowiłam się przy kominku, słuchając opowieści.

– Ta historia miała miejsce za czasów, kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku, no może troszkę starszy. Był to z pewnością najpiękniejszy i najgorętszy dzień tamtego lata. Wprost wspaniały. Tego dnia miał się odbyć festyn z okazji odbudowania parku, który spłonął w wielkim pożarze. Pachniało świeżym i rześkim powietrzem, a ile dźwięków można było usłyszeć! Bo widzisz, tam nie tylko śpiewały ptaki, ale również odbył się koncert. Kiedy tak siedłem wśród ludzi, oszołomiony niesamowitością tego miejsca, zobaczyłem anioła. Była nim jasnowłosa dziewczyna o dużych brązowych oczach i pełnych ustach. Serce zaczęło mi mocniej walić. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułem. Spojrzała na mnie i chyba się lekko zaczerwieniłem, bo uśmiechnęła się do mnie. Odwróciłem wzrok na moment i straciłem ją z oczu. Nie zaskoczyło mnie to zbyt, bo poszedłem szukać pięknej niewiasty. Podszedłem do brzegu stawu i przyglądałem się swojemu odbiciu. Woda była taka czysta i przeźroczysta! Po chwili spostrzegłem, że tajemnicza dziewczyna ma zamiar wsiąść do gondoli. Postanowiłem, że muszę się tam jak najszybciej znaleźć. Akurat zdążyłem, bo zostało ostatnie miejsce. Dziewczyna ponownie zaszczyciła mnie uśmiechem i przywitała się ze mną. Zapytała:

– Jak masz na imię?

Lekko zmieszany odpowiedziałem:

– Adam. A ty?

– Zuzia, ale przyjaciele mówią mi Zuzka – powiedziała dumnie i zanurzyła rękę w wodzie.

Dopiero teraz mogłem zobaczyć, jak jej włosy powiewają na wietrze, a uśmiech odsłania śnieżnobiałe zęby. W końcu ruszyliśmy na wodę, gdzie było jeszcze wiele innych gondoli. Jedne duże, a drugie małe. Z brzegu dobiegały gwizdy i śmiechy moich kolegów, ale również i koleżanek Zuzi. Nie zwracałem na to uwagi i jej też to nie przeszkadzało.

Wypłynęliśmy na sam środek stawu. Nagle gondola przechyliła się i wpadliśmy do wody. Mnie oczywiście to nie zaszkodziło, wręcz było przyjemnie się troszeczkę ochłodzić. Niestety, gdy się wynurzyłem, nie widziałem nigdzie Zużki. Wtem usłyszałem nawoływania zza moich pleców, a gdy się odwróciłem, zobaczyłem ją tonącą i szamoczącą się na wszystkie strony. Staralem się podpłynąć do niej jak najszybciej, ale poszła pod wodę. Zanurkowałem i wyłowilem ją, a potem odstawiłem na brzeg. Na szczęście była tylko przemoczona i wystraszona.

– Och! Mój bohater! Dziękuję ci! Gdyby nie ty, to byłoby ze mną marne!

– To drobnostka – odpowiedziałem, a ona podeszła i pocałowała mnie w policzek. Zarumieniłem się.

„Och, jakie to romantyczne!” – pomyślałam i właśnie wtedy spostrzegłam, że dziadziś zasnął. Ulysess miał jednak inne plany i zaraz wskoczył dziadkowi na kolana, a następnie polizał go swoim ostrym językiem po ręce. Dziadziś, zbudzony ze snu, nie wiedział przez chwilkę, o co chodzi, lecz kontynuował swoją opowieść:

– Potem odprowadziłem Zuzię do domu, ale musiałem jej obiecać, że jutro też się spotkamy w parku.

– Piękna opowieść, dziadku – powiedziałam i zaczęłam bliżej przyglądać się zdjęciom, które leżały obok mnie.

Moją uwagę przykuła fotografia przedstawiająca dwoje młodych ludzi. To było właśnie to zdjęcie, które wczoraj pokazali mi dziadkowie. Wtedy właśnie mnie olśniło.

– Dziadku, czy przypadkiem ta Zuzia nie krząta się teraz po kuchni i nie szykuje kolacji? – zapytałam.

Dziadek tylko się uśmiechnął i powiedział:

– Jesteś bardzo mądrą dziewczynką. Masz rację, to właśnie jest mój anioł, którego uratowałem z opresji. To zdjęcie, które trzymasz w ręce jest z dnia naszego ślubu. Zobacz, przejaśnia się, najwyższy czas.

Wyrzałam przez okno na oświetlone promieniami słońca podwórko. Ten dzień nie musiał być jeszcze taki beznadziejny! Zapytałam, czy nie moglibyśmy się przejść do tego parku. Tak bardzo chciałam zobaczyć to miejsce z bliska i na własnej skórze przekonać się, jak wiele tajemnic jeszcze skrywa.

W bielawskim parku

Pewnego letniego dnia wybrałam się do bielawskiego parku. Moja koleżanka organizowała przyjęcie urodzinowe nad stawem. Było to miejsce, gdzie kiedyś pływano gondolami i łódkami.

Kiedy przyszedłam do parku, nikogo jeszcze nie było. Chwilkę poczekałam, siedząc na ławce. Trochę mi się nudziło, więc poszłam na spacer. W końcu zobaczyłam moje koleżanki i razem udałyśmy się do miejsca, w którym miały odbyć się urodziny Oliwii.

Gdy już tam dotarliśmy, ujrzałyśmy pięknie ozdobiony domek. Był pełen balonów, bibuły oraz różnych kolorowych światełek. Gdy wszyscy goście się zjawili, schowaliśmy się i czekaliśmy, aż przyjdzie solenizantka. Trwało to około dziesięciu minut. Nagle ktoś dostrzegł, jak wysiada z auta i krzyknął, żebyśmy byli cicho. Wszyscy zamilkliśmy i siedzieliśmy jak mysz pod miotłą. Słychać było tylko szelest liści. Kiedy Oliwia doszła do miejsca, w którym miało odbyć się przyjęcie, zdziwiła się, że jeszcze nikogo nie ma i zastanawiała się, co mogło być powodem nieprzybycia gości. Wtedy wszyscy wyskoczyliśmy z naszych kryjówek i krzyknęliśmy: „Sto lat!”

Oliwia była bardzo zaskoczona, bo myślała, że już nikt nie przyjdzie. Nasz widok bardzo ją ucieszył. Szybko złożyliśmy życzenia i zaczęliśmy przyjęcie. Najpierw trochę tańczyliśmy, śpiewaliśmy i wygłupialiśmy się. Po niedługiej zabawie przyniesiono tort urodzinowy. Był trzypiętrowy, cały różowy i znajdowało się na nim czternaście świeczek, ponieważ Oliwia kończyła właśnie tyle lat. Wypiek był tak piękny, że dziewczyna z wrażenia się popłakała. Gdy go pokroiła, zaczęliśmy jeść. Tort wszystkim smakował, dla mnie był może trochę za słodki, jednak w ogóle mi to nie przeszkadzało.

Po krótkiej uczcie bawiliśmy się dalej. Rodzice solenizantki zorganizowali kilka konkursów. Najbardziej podobał mi się ten, w którym trzeba było tańczyć. Cała zabawa polegała na zatańczeniu czegoś z dawnych lat. Było dużo śmiechu, bo przecież nikt z nas nie

był przygotowany na coś takiego. Oczywiście ja tańczyłam najlepiej, więc dostałam nagrodę w postaci dodatkowego kawałka tortu.

Kiedy byliśmy już zmęczeni, zrobiliśmy sobie przerwę i chwilę odpoczęliśmy. W tym czasie trochę zjedliśmy, bo zaczął nam doskwierać głód. Tym razem była przygotowana dla nas pizza i ciasto. Następnie daliśmy Oliwii prezenty, które od razu oglądała. Bardzo się cieszyła, ale jednocześnie była zdziwiona, że nie otrzymała żadnego upominku od rodziców. Nagle ujrzała, jak jej tata i kilku innych mężczyzn niosą niewielką, brązową gondolę. Oliwia bardzo się ucieszyła i od razu podbiegła do swoich rodziców, mocno ich uściskała i podziękowała. Po kilku minutach gondola znalazła się na wodzie obok innych łódek. Każdy miał szansę nimi popłynąć. Oliwia zdecydowała, że najpierw popłyną starsi. Mieli bardzo szczęśliwe i zadowolone miny. Sprawiali wrażenie, jakby płynęli czymś takim pierwszy raz w życiu. Potem przyszedł czas na młodzież. Było fantastycznie. Dzień był gorący, a od wody biegł przyjemny chłód.

Po pewnym czasie mama Oliwii zawołała nas na brzeg i powiedziała, że przyjechała ulubiona piosenkarka jej córki. Dziewczyna nie chciała w to uwierzyć, ale zaraz zauważyła kobietę idącą w jej stronę. Szybko podbiegła i okazało się, że to była naprawdę ta gwiazda. Zaśpiewała kilka piosenek, złożyła Oliwii życzenia i pojechała dalej, bo miała tego dnia jeszcze jeden koncert.

Wyprawa gondolowa spowodowała, że ciocie i wujkowie poczuili się jak za dawnych lat. Zaczęli wspominać czasy, kiedy w parku odbywały się koncerty. Ludzie przychodzili całymi rodzinami, żeby popływać łódkami i zjeść lody. Zimą, gdy woda zamarzała, urządzano tu ślizgawkę, więc wszyscy przychodzili pojeździć na łyżwach. Babcia Oliwii opowiedziała nam, jak kiedyś wyglądała Bielawa (bardzo zaciekała mnie historią, więc postanowiłam, że po powrocie do domu poczytam o ciekawych miejscach w naszym mieście).

Po wysłuchaniu opowieści babci zrobiliśmy sobie zawody w pływaniu łódkami. Stworzyliśmy dwie drużyny składające się z chłopców i dziewcząt. Oczywiście wygrała drużyna naszej solenizantki, która jako pierwsza dopłynęła do mety. W nagrodę wszyscy otrzymali wielkie porcje lodów. Potem zaczęliśmy znów pływać gondolą, a mama Oliwii robiła nam zdjęcia. Gdy zaczął zapadać zmrok, tata

solenizantki powiedział, że to już koniec przyjęcia. Byliśmy zawiedzeni, ale godzina zrobiła się późna, więc czas było wracać do domu.

To był najciekawszy dzień w moim życiu. Dobrze się bawiłam, a przede wszystkim się nie nudziłam. Po powrocie do domu nie mogłam zasnąć. Myślałam, jak wyglądałyby moje urodziny w bielawskim parku zimą, gdyby jak dawniej można było jeździć na łyżwach. Z pewnością byłaby to wspaniała przygoda!

Nadzieja

Pewnego pięknego, letniego popołudnia miejski policjant Daryl Grimes, będąc na służbie, dostaje zgłoszenie, że w bielawskim parku grasuje niebezpieczny bandyta uzbrojony w broń palną i strzela do niewinnych osób. Zaniepokojony Grimes próbuje jak najszybciej dotrzeć na miejsce zdarzenia, ponieważ jest świadomy, iż w ciągu dnia większość osób z tego miasta spędza swój czas wolny w małej parkowej kafejce znajdującej się tuż przy pięknym stawie, po którym można było pływać wynajmowanymi kajakami. Gdy Grimes dotarł na miejsce, ujrzał dramatyczny obraz całej sytuacji: panował chaos, ludzie uciekali w różnych kierunkach byleby zbiec przed grasującym w parku szaleńcem. Zdenerwowany policjant pobiegł w kierunku kafejki, gdzie mógł się znajdować uzbrojony mężczyzna. Nie mylił się: stał on tuż obok drzwi wejściowych. Grimes zaczął powoli skradać się, by rozbroić mężczyznę, lecz w pewnym momencie ten odwrócił się i strzelił mu prosto w klatkę piersiową, a potem zaczął uciekać. Wykrwawiającego się policjanta znalazła pewna nastolatka i zadzwoniła po pogotowie, które przewiozło rannego do pobliskiego szpitala znajdującego się tuż obok pl. Wolności.

Lekarze stwierdzili, że muszą wprowadzić Grimesa w śpiączkę farmakologiczną. Było to konieczne ze względu na obrażenia, jakie spowodował pocisk. Od razu została powiadomiona żona, Lori, która przyjechała najszybciej jak tylko mogła wraz z jedenastoletnim synem, Carlem, oraz najlepszym przyjacielem, Glennem Rhee. Jednak nie była to najgorsza rzecz, jaka mogła ich spotkać. Na drugi dzień wybuchła epidemia nieznanej dotąd choroby, która rozpowszechniała się w bardzo szybkim tempie, roznoszona poprzez ugryzienie lub zadrapanie. Z powodu tej sytuacji szpital został ewakuowany. Lori i Carl nie chcieli zostawić Daryla, jednak Glenn przekonał ich, że muszą uciekać.

– Lori, nie mamy wyboru, jest już za późno. Musimy uciekać w bezpieczne miejsce, to jest nasza jedyna szansa na przeżycie!

Podczas ucieczki Glenn zablokował drzwi sali łóżkiem znajdującym się na korytarzu i wraz z Lori i Carlem udali się w kierunku Wrocławia, gdzie znajdował się schron.

Po dwóch tygodniach Daryl nieoczekiwanie budzi się ze śpiączki i zdziwiony, że nikogo nie ma, wrywa igłę z kroplówką i ledwo stojąc na nogach, wychodzi na korytarz. Przeżywa szok – na ścianach widzi krew oraz porozrzucane na ziemi rzeczy. Kieruje się ku recepcji by zadzwonić z tamtejszego telefonu, ale że w całym szpitalu wysiadł prąd, postanawia szukać wyjścia. Napotyka drzwi, na których napisano krwią: „Nie otwierać. Trupy”. Przyglądając się temu napisowi, słyszy dziwne odgłosy i widzi wydostającą się przez szparę skostniałą dłoń. Przestraszony, zaczyna w szybkim tempie kierować się w stronę klatki schodowej, by wydostać się ze szpitala, lecz na zewnątrz jest jeszcze gorzej: nie ma ani jednej żywej osoby, dookoła szpitala porozrzucane są zwłoki. Przestraszony Daryl udaje się do swojego domu z nadzieją, że będzie tam na niego czekać jego syn, Carl, oraz żona, Lori. Widzi otwarte drzwi, co nie jest dobrym znakiem. Zdezorientowany siada na schodach, zastanawiając się, gdzie jego rodzina się podziałła i czy wciąż żyje. Niedługo się zastanawiał, bo zza rogu wyskoczył mu zmarły. Grimes zaczął go odpychać, lecz zombie napierało z coraz większym impetem. Nagle pada strzał, który trafia zombie prosto w głowę. Ogłuszony hukiem Grimes nie wie, co się dzieje. Dostaje w głowę kijem bejsbolowym i traci przytomność. Wieczorem budzi się przywiązany do łóżka, a obok niego stoi czarnoskóry mężczyzna, który wypytuje go o różne rzeczy,

– Jak się nazywasz?

– Daryl Grimes. A ty?

– Ja nazywam się Tyreese. A teraz do rzeczy, czy zostałeś ugryziony przez sztywnych?

Grimes zdziwiony odpowiada:

– Nie zostałem przez nikogo ugryziony. Zostałem postrzelony podczas akcji, obudziłem się w szpitalu i to wszystko już tak wyglądało. A tak poza tym, kim są sztywni?

– Więc mówisz, że to rana postrzałowa? Zresztą musi to być praw-

da, bo gdybyś był ugryziony, gorączka sama by cię już wykończyła. Z jednym sztywnym już się spotkałeś. Są to osoby zarażone nowym wirusem, którego nikt nie zna. Ludzie ci nagle wracają do świata żywych i jedynym wyjściem jest zabicie ich strzałem w głowę.

– A masz więcej broni, czy tylko posiadasz tę jedną wiatrówkę i kij bejsbolowy?

– Niestety, nie mam więcej broni, a bardzo by się przydała. Wiesz może, gdzie moglibyśmy znaleźć kilka sztuk broni?

– Tak się składa, że wiem. Na komendzie jest skład wypełniony bronią, można się zakraść i wziąć kilka sztuk.

– Dobra, to teraz cię rozwiążę i rano pójdziemy na komendę. Ale bez żadnych numerów.

– Zgoda, ja tylko chcę odnaleźć swoją rodzinę.

Następnego dnia Tyreese i Grimes udają się na komendę, w której jest skład z bronią. Po jakichś dziesięciu minutach są już w środku. Mają dużo szczęścia, bo w pomieszczeniu jest pełno broni i amunicji. Z szybkością światła zaczynają pakować rzeczy i wynosić je do radiowozu, który stoi nieopodal składu. Grimes próbuje namówić Tyreese, żeby ten udał się z nim.

– Tyreese, może chciałbyś wybrać się ze mną w stronę Wrocławia? Zanim mnie postrzelono, słyszałem o schronie, który wybudowali pod centrum miasta. Może tam byłoby bezpiecznie? Co ty na to?

– Z miłą chęcią pojadę wraz z tobą. Jest także nadzieja na to, że będzie tam twoja rodzina.

– Sam liczę na to, że ich tam spotkam.

– No to w drogę, Grimes!

Po godzinie drogi Daryl i Tyreese dojeżdżają do Wrocławia, gdzie spełniają się ich najgorsze obawy. Miasto jest w totalnej rozsypce, a po ulicach chodzi pełno sztywnych. Muszą wymyślić sensowny plan, jak ich ominąć. Decydują się na dość nietypowy pomysł: Tyreese zabija jednego zombie i wraz z Grimsem wcierają jego wnętrzności w swoje ubranie, co ma spowodować, iż zombie nie rozpoznają ich, gdy będą przechodzić obok nich. To szalony plan, lecz nie mają innego wyboru, jeśli chcą się dostać do schronu. Od drzwi dzieli ich tylko sto metrów, więc szybko podbiegają do nich i stukają z nadzieją, że ktoś im otworzy. Nieoczekiwanie otwiera im jeden z wojsko-

wych i wprowadza ich do środka. Grimes od razu wypatruje Lori i Carla. Szczęśliwy, że łzami w oczach podbiega do nich. Lori jako pierwsza zauważa biegnącego w jej stronę Daryla

– Daryl! Ty naprawdę żyjesz!

Carl zauważa ojca i także ze łzami w oczach biegnie w jego kierunku.

– Tato!!

– Carl, Lori!!!

– Myśleliśmy, że już nie żyjesz!

– Ja też tak myślałem, ale jednak Bóg się nade mną zlitował. Poznajcie mojego przyjaciela, Tyreese, bez którego nie dałbym sobie rady.

– Dziękuję ci, że pomogłeś mojemu mężowi we wszystkim.

– Nie ma za co, to był drobiazg.

– A gdzie Glenn?

– Jestem! Już spokojnie, stary! Dobrze cię widzieć żywego!

– Ciebie też!

Szczęśliwy Grimes z uśmiechem mówi do Lori, Carla, Glenna i Tyreese:

– Teraz jesteśmy jedną rodziną.

– Zgadza się z tobą, Daryl!

Pięć lat później został wynaleziony lek na nieznaną chorobę. Wszystkie osoby, które przeżyły epidemię, dostały specjalne szczepionki uodporniające na tego wirusa i wszystko powróciło do normy. Więzi między całą piątką bohaterów się zacieśniły. Razem są silniejsi.

Morał z całej tej sytuacji jest taki, że najlepszym sposobem na przeżycie jest trzymanie się grupy i własnej rodziny, która daje szczęście i niesamowitą energię.

W bielawskim parku

W bielawskim parku rosło sobie stare drzewo, które dużo widziało i przeżyło. Stary dąb pamiętał wiele wydarzeń i lubił opowiadać. Wszystkie parkowe rośliny nie mogły się doczekać opowieści tego drzewa. Pewnego słonecznego poranka dąb zaczął mówić:

– Dawno, bo aż 85 lat temu, w naszym małym, uroczym miasteczku znajdującym się u podnóża Gór Sowich, żyli Niemcy. Ludziom wtedy nie brakowało świeżego powietrza i zieleni, ale pragnęli czegoś więcej: parku, w którym będą się bawić dzieci, młodzież będzie wieczorami urządzać spotkania, a starsi będą mogli odpoczywać. Ludzie pracujący w zakładach włókienniczych pragnęli rozrywki. Miasto dostrzegło ich potrzeby. Ofiarowało 150 tysięcy marek i odkupiło park miejski z zabudowaniami i gruntami od rodu Seidlitzów. Było to 1 września 1930 roku. Powstał też zrobiony z mniejszego stawu basen kąpielowy, który stał się największą atrakcją parku.

– A gdzie ten basen? – zapytała zachwycona opowieścią młoda brzoza, rosnąca obok dębu.

– Basen był używany do czasu wybudowania Zbiornika Sudety – odparł dąb. – Potem go zasypano.

– A jak wyglądał park w tamtych czasach? – zapytały rosnące w parku fiołki.

– Na większym stawie, ze sztuczną wyspą, mieszkańcy i turyści odwiedzający Bielawę pływali łódkami, a zimą, gdy woda zamarzała, urządzano tu ślizgawkę – snuł opowieść dąb. – Staw i basen zasilane były wodą z młynówki. Ludzie spacerowali, siedzieli na ławeczkach, słuchali śpiewu ptaków. W 1932 roku w parku powstała kawiarenka. Był to drewniany, parterowy budynek z dużym tarasem. Turyści mogli tu zjeść coś słodkiego i napić się kawy. Ludzie byli bardzo szczęśliwi. Szanowali swój park i bardzo o niego dbali. Obok basenu

postawiono muszlę koncertową i o niej wam opowiem.

– Pewnego razu widziałem – snuł historię dąb – jak przez park przechodziła piękna, wytworna dama. Była ubrana w szary płaszcz, a na głowie miała czerwony jak jarzębina kapelusz. Nagle powiał mój przyjaciel wiatr i piękny kapelusz zaczął unosić się wysoko. Owa kobieta zaczęła biec z potarganymi włosami, żeby go złapać, ale wiatr szybko oddalał jej kapelusz. Nagle, nie zauważywszy leżącego pnia, potknęła się i wpadła do sadzawki. Spostrzegła to grupa bawiących się chłopców i popędziła na ratunek kobiecie. Jeden z chłopców złapał fruwiący na wietrze kapelusz. Przemoczona kobieta, chcąc się odwdziżyć, dała im parę groszy, które chłopcy zaraz stracili w pobliskiej cukierence. Okazało się, że owa dama była sławną bielawską skrzypaczką. Zaprosiła całą grupę dzieci na koncert odbywający się wieczorem w parkowej muszli koncertowej. Gdy nastał wieczór, w blasku parkowych lamp słychać było dźwięki wiolonczeli i skrzypiec. Chłopcy siedzieli na trawie, a ich buzie otwarte były ze zdziwienia, bo muzyka poruszała ich serca. Odtąd uczestniczyli w każdym koncercie.

– A gdzie jest teraz muszla koncertowa? – zapytał malutki klon, który marzył, by być wielkim drzewem.

– Dokładnie 10 lat po tym wydarzeniu wybuchła II wojna światowa – rzekł dąb. – Mężczyźni wyruszyli na front. Z atrakcji parku korzystały kobiety. Po wojnie muszlę koncertową wyburzono. Kawiarenkę nad stawem nazwano „Krystynką” i nadal sprzedawano w niej pyszne słodkości. Zobaczcie, większy staw wraz z wyspą wciąż istnieje. W 2008 roku zainstalowano na środku niego podświetlaną fontannę. Dzięki dofinansowaniu z Unii Europejskiej park coraz bardziej pięknieje i jak przed wojną staje się atrakcją Bielawy.

– Popatrzcie! – krzyknęła chuda sosna. – Dzieci pływają kajakami!

I wszystkie rośliny ze wzruszeniem oglądały, jak dzieci bawiły się w ich od lat pięknym parku.

Wspomnienie

W pewnym mieście żyła staruszka z wnuczką, która kiedyś wyjechała z rodzicami za granicę, ale gdy dowiedziała się o śmierci dziadka w wypadku samochodowym, postanowiła wspierać babcię w tej trudnej sytuacji i wprowadziła się do niej. Obydwie lubiły przyrodę, dlatego też często wybierały się na spacer do pobliskiego parku.

Pewnego dnia wybrały się tam i usiadły na swojej ulubionej ławce koło niewielkiego stawu. Długo siedziały, spoglądając na kaczki.

– Babciu, czy mogłabyś opowiedzieć mi o dziadku? – zapytała niepewnie wnuczka

Oczy babci posmutniały. Nie lubiła wspominać o swoim zmarłym mężu. Dziewczynka uznała ciszę za odmowę, dlatego zmieniła temat.

– A opowiesz mi jak wyglądał park, gdy byłaś dzieckiem?

– Za moich czasów – zaczęła babcia, spoglądając w niebo rozmarzonymi oczami – park był piękny, zielony, słychać było śpiew ptaków i szum drzew. Na środku stała niewielka kawiarenka, gdzie sprzedawano pyszne lody i rurki z bitą śmietaną, najlepsze w mieście, a także kawę. W każdą sobotę była puszczana muzyka i można było potańczyć. Kiedyś obok kawiarenki znajdował się staw, gdzie pływano łódkami oraz kajakami – babcia mówiła to z radością w głosie – tam też poznałam twój dziadka.

Na wspomnienie o nim znowu posmutniała. Dziewczynka zauważyła to, ale nadal bardzo uważnie przysłuchiwała się każdemu wypowiedzianemu przez babcię słowu.

– Był uroczym, przystojnym, młodym człowiekiem. Miał wspaniałe poczucie humoru i mieliśmy wspólne zainteresowania. Często chodziliśmy ścieżkami po tym parku – wskazała ręką. – Przysiadaliśmy na ławkach i oglądaliśmy przyrodę. Nasza przyjaźń trwała bardzo długo, aż do momentu, gdy mi się oświadczył. To było właśnie na tej ławce, w sobotę – mówiła ze łzami w oczach. – Ach... pamiętam,

jakby to było zaledwie wczoraj! Tak mi go brakuje, wspólnych spacerów, jego towarzystwa!

Znowu zapadła cisza. Postanowiły wrócić do domu. W drodze powrotnej szły w ciszy. Gdy dotarły do celu, staruszka poszła do salonu, gdzie usiadła na kanapie obok okna, a wnuczka poszła do kuchni przyrządzić ciepłe kakao dla siebie i herbatę dla babci. Zrobiła również tosty z serem i pieczarkami. Gdy wszystko przygotowała, wróciła do salonu. Usiadła obok staruszki, częstując ją tostami i podając jej herbatę.

– Babciu, czemu się uśmiechasz?

– Bo spędziłam cudowne chwile z tobą i innymi, i chciałabym znowu zobaczyć dziadka – odpowiedziała staruszka.

– Spotkasz go, babciu. W niebie.

– Wiem, kochanie, wiem – powiedziała i przytuliła wnuczkę, która odwzajemniła uścisk.

Ósmy kolor tęczy

– Zamknij się, bo nie dość, że cię zaraz dozorca usłyszy, to cała Habendorferstrasse na dodatek!

– Kiedy mnie coś po nodze smyrło.

– Jak cię zaraz smyrnę, to gwiazdy zobaczysz! Heinrich, po co siostrę przywlokłeś ze sobą? Nie tak się umawialiśmy. Jak się będzie dalej tak drzeć, to nie przyjdzie.

– No co, małej nie mogłem zostawić, bo się uparła, że ojcu powie. I co? Fati by mnie sprął i zamiast w parku, teraz bym w łóżku siedział. A On przyjdzie, zobaczysz, że przyjdzie. Na świętego Jana samobójcy zawsze przychodzą na swój grób, to nie wiesz?

– Jacy samobójcy, no jacy? Udajesz mądrą, a nie wiesz, że hrabia Ernest to nie samobójca. Zastrzelili go w Berlinie, w 1919 roku. A zresztą, siedem lat temu państwo wzięli go ze sobą, jak sprzedali zamek. Za mały bajtel byłeś, to i nie pamiętasz. No, co my tu robimy? Spadamy, przeskoczmy przez płot i popływamy w basenie. Dozorca śpi, sprawdzałem, jak tu szedłem.

– Oj, głupi jesteś, głupi. Mój fati był tu, jak wykopywali trumnę z hrabią. Pomagał z koniem przy odciąganiu głazów. Trumna była pusta i dziurawa od spodu, a wieko całe zdarte od środka. Pazurami, ooo, takimi wielgachnymi pazurami. Kazali nikomu nic nie mówić, ale podsłuchałem, jak kiedyś mój fati z wujkiem Hermanem rozmawiali. Zobaczysz, że przyjdzie. Chłopaki z Neue Welt widzieli go dwa razy. Tylko z samobójcy pochowanego na niepoświęconej ziemi upiór się robi. Wszyscy to wiedzą. Poczekajmy jeszcze chwilę, już niedługo północ.

Na stawie żaby hałasowały jak zwykle pod koniec czerwca. Wiadomo, niedługo przyjdzie lato i nowe żabie obowiązki. Noc była wyjątkowo ciepła, park wydawał się całkowicie bezpieczny. Alejki parkowe były świeżo pozamiatane, dekoracje już porozwieszane przed jutrzejszym festynem bujały się na łagodnym wietrzyku, łódki cichutko stukwały o pomost.

I nagle wszystko zamarło. Rozległ się głuchy, przytłumiony łoskot, jakby gdzieś w głębi ziemi ktoś przemocą otwierał kamienne wrota. Żaby ucichły jakby nigdy ich tu nie było, a nad wodą uformowały się powoli cztery słupy mgły. Dzieciaki ukryte w krzakach jaśminu złapały się za ręce i zamarły, nie wiedząc, czy wiać, czy siedzieć cicho. Gdyby się odwróciły i uciekły, pewnie by zobaczyły, jak w samej głębi parku, w jego najciemniejszej części jaśniej nie zwykłym blaskiem jeden punkcik. Może po raz pierwszy od przeszło stu lat ktoś by zobaczył jak rozkwita kwiat paproci, jak wygląda ósmy kolor tęczy. Może dzieciaki by miały wtedy jakieś większe szanse. Może wszystko by się potoczyło inaczej. A może i nie.

Mistrz Guido Rogeri długo stał nieruchomo w swoim atelier przy Bahnhofstrasse 93a, ze zdumieniem i niedowierzaniem oglądając odbitki fotografii z wczorajszego festynu w parku miejskim. Te rozmówione i opłacone z góry przez samego burmistrza. Prawie wszystkie zdjęcia były prześwietlone, a już najgorzej wyszły te z okolic górki przy stawie, tej usypanej na miejscu dawnego grobowca hrabiego Ernsta. Długo przygotowywał się do tych zdjęć, precyzyjnie ustawiał honorowych gości na tle odświętnie udekorowanego stawu, a tu taki wstyd! Drugie pokolenie „Photo Werkstätten Rogeri Aufnahme und Verlag Ober Langenbielau – Peterswaldau” nawaliło na całego. Ojciec Edmond to się chyba w grobie przewraca. Co tu robić?

Trudno, ojciec zawsze powtarzał: „Trzeba umieć spojrzeć prawdzie w oczy”. Zostało jedno zdjęcie, prześwietlone co prawda z lewej strony, ale jakby tak odpowiednio je wykadrować, tutaj przyciąć, tam wyretuszować, jakoś wymazać te dziwne niby postacie odbite w wodzie... Hm, takie odbicia przecież nieraz się zdarzają, to tylko wyobraźnia i gra światła i cieni na wodzie. Nie ma tam żadnych postaci, nikt nikogo nie wciąga pod wodę, nie ma tam żadnych dzieci, a potwory nie istnieją. Przecież, do jasnej cholery, byłem tam i nic takiego nie widziałem!

– Szalone bachory, macie więcej szczęścia niż rozumu. Nie uczył ojciec z matką w noc Ligo Rasos w domu siedzieć i nosa spod kołdry nie wyściubiać? Czy wyście już wszystko pozapominali? Durne ludzkie plemię! Czy wystarczy na chwilę was samych zostawić i już skleroza dopada? Oj, da mi Herla do wiwatu, jak się obudzi, oj, źle będzie ze mną! Macie szczęście, że stary Zwerg czuwał przy Wrotach i was uratował. No, nie płakać mi już tu, wystarczy że was w domu oplakują. I co by tu z wami teraz zrobić, hę? Wrócić nie możecie, zostać nie możecie, trzeba zdać się na los, nic innego nie poradziemy. Nie przeszkadzajcie mi tylko, niczego nie dotykajcie i nic nie mówcie. Trudno, rzucę losowi wyzwanie, spróbuję was odesłać do waszego miejsca i czasu.

Zgarbiona postać odziana w matowo połyskującą kolczugę rzuciła w ogień garść ziół, szary kamień i kroplę własnej krwi. Pomału, wszystko w odpowiedniej kolejności. Monotonny zaśpiew krasnoluda zdawał się kształtować dym w dziwne, niepokojąco znajome postaci zwierząt, a wywołane duchy zaczęły obracać się wokół miejsca z dziwną pustką pośrodku, pustką wciągającą światło i ciepło.

– No, teraz wy, szybko, póki jest otwarte okno, potrzebuję odrobiny waszej krwi. Nie uciekać mi tylko!

Tego było już za wiele. Heinrich z Heinriettą wydarli się na widok zbliżającego się do nich karła z nożem w ręku tak głośno, że aż zadrżał strop jaskini, a w sam środek niewielkiego ogniska spadł całkiem sporych rozmiarów głaz. Zdumiony i zrezygnowany Zwerg aż przysiadł na ten widok, a duchy zwierząt rozpięchły się po ścianach jak cienie.

– To wy tak? – wycodził przez zaciśnięte zęby – to ja was, to ja was... – po czym zamarł, jakby czegoś nasłuchując, nerwowo machnął ręką i odbiegł w ciemność. Po dłuższej chwili wrócił i usiadł na kamieniu, ciężko sapiąc i patrząc spode łba na przerażone dzieciaki.

– Herla się obudziła. Za wcześniej. To wasza wina! Dostaniecie szansę na powrót w każdą noc Ligo Rasos co 9 non obrotów. Po waszemu to będzie 81 lat. 24 czerwca 2016 roku powrócicie, jeżeli w Bielawie znajdzie się odważny człowiek, który tej nocy zerwie kwiat i wrzuci go do stawu. Potem szansa będzie w 2107, 2198 i tak dalej. I żadnego złota, guzik dostaniecie! A teraz spać!

W bielawskim parku

Moja babcia była dla mnie najwspanialszą osobą na świecie. Spędzałam u niej każdą wolną chwilę. Opowiadała mi niezwykle historie ze swojego życia. Bardzo miło wspominam te wizyty. Rok temu moja babcia zmarła, a ja dopiero teraz zdecydowałam się opowiedzieć jedną z jej najpiękniejszych historii.

Był rok 1930. Moja babcia Ania miała wtedy jakieś 17 lat. Od urodzenia mieszkała w Bielawie i nigdy nie chciała mieszkać w innym mieście. Spotykała się wówczas z chłopakiem, Janem, który pochodził z bogatej, wysoko poważanej rodziny. Kupował mojej babci biżuterię i kwiaty. Często chodzili do wykwintnych restauracji. Babcia była szczęśliwa.

Jednak pewnego razu, gdy była z koleżankami w bielawskim parku, coś zniszczyło tę harmonię. Dziewczęta stały w kolejce do gondoli. W okolicach stawu było mnóstwo ludzi. Z lotu ptaka na pewno wyglądali jak małe mrówki. W takim tłumie niełatwo było pilnować swojej kolejki. Nagle chłopcy, którzy stali przed nimi, zaczęli się przepychać, a jeden z nich wpadł na moją babcię.

– Proszę trochę uważać! – krzyknęła babcia Ania.

– Bardzo przepraszam, naprawdę nie chciałem – odezwał się jeden z chłopców.

Babcia od razu oceniła, że był najprzystojniejszy z nich wszystkich.

– Jestem Michał – przedstawił się, nie spuszczając z mojej babci wzroku.

Oczywiście ona go zignorowała, bo przecież już miała chłopaka.

Po chwili zwolniły się dwie gondole. Na jednej popłynęła moja babcia i jej koleżanki, a na drugiej Michał i jego koledzy. Młodzież świetnie się bawiła. Młodzi chłopcy znowu zaczęli się wygłupiać i podpływali do dziewczyn, żeby je trochę pozaczepiać. Poznany przed chwilą chłopak wciąż wpatrywał się w babcię Anię. W pewnej

chwili zerwał się i krzyknął do niej:

– Możesz się ze mną spotkać jutro o 17.00 w tym parku?

Babcia oniemiała. Jak on może zadawać takie bezpośrednie pytania?! Odwróciła wzrok, a jej kumpele namawiały ją, żeby się zgodziła.

– Jeżeli się nie zgodzisz, wskoczę do wody! – dodał.

Babcia Ania trochę się wystraszyła, bo nie chciała robić scen w parku, gdzie było tyle ludzi.

– Nie pozostawiasz mi wyjścia. Będę skakać! Szkoda, że każesz mi to robić, woda jest wyjątkowo zimna!

Jego krzyki przyciągnęły spory tłum.

Babcia, zdenerwowana całą sytuacją i tym, że ściąga na siebie tyle uwagi, zgodziła się. Musiała się wywiązać z obietnicy, bo zawsze powtarzała: „Słowo ważniejsze od pieniędzy”. Oczywiście liczyła się z tym, że będzie musiała ukrywać swoje spotkanie z nieznanym chłopakiem. Gdy wieczorem wracała do domu, po obu stronach drogi na drzewach były napisy: „Jutro, godzina 17.00. Będę czekać”. Była mile zaskoczona.

O godzinie 17.00 babcia była w parku. Michał grzecznie się z nią przywitał i poszli na spacer. Rozmawiali do godziny 20.00 i oboje musieli już iść do domu. Rozmowa między nimi się kleiła, więc umówili się na kolejny dzień. Ich potajemne spotkania trwały 3 miesiące. Zdążyli się bardzo dobrze poznać i naprawdę bardzo się polubili, a miejscem ich spotkań był zawsze park.

Babcia zdobyła się na trudną rozmowę ze swoją mamą. Zapytała ją, co ma zrobić. Z jednej strony był Jan – dobrze usytuowany finansowo chłopak, obsypujący ją prezentami i kwiatami, a z drugiej strony Michał – skromny chłopak, z którym lubiła rozmawiać i który ją rozumiał. Po długiej rozmowie podjęła decyzję, ale wieczorem z sentymentu poszła jeszcze do parku, by pomyśleć.

Za dwa dni miała spotkać się z Michałem. Czekala ją jednak trudna rozmowa z Janem. Babcia była bardzo zdenerwowana, a ręce jej się trzęsły jak galareta. Nagle usłyszała dzwonek do drzwi. To był Jan. Rozmowa była bardzo nerwowa, a Jan pokazał swoje prawdziwe ja. Bardzo krzyczał i z wrzaskiem wyszedł. Ta sytuacja jeszcze bardziej upewniła moją babcię, że podjęła dobrą decyzję.

Pierwszy raz bez ukrywania się poszła na spotkanie z Michałem.

Była smutna, że rozczarowała Jana i o tym wszystkim opowiedziała swojemu koledze. To wywołało jej płacz. Kiedy już obeszli cały park, doszli do miejsca ich pierwszego spotkania. Michał mocno przytulił moją babcię, po czym uklęknął i spytał, czy chciałaby spędzić z nim resztę życia. Oczywiście się zgodziła, a swoją radość potwierdziła pocałunkiem. W ten sposób Babcia Ania poznała Dziadka Michała.

Za każdym razem, gdy spaceruję po parku, myślę o babci i wspominam jej historię. Zabieram na spacer również mojego dziadka Michała, który opowiada mi na nowo o ich cudownej miłości, przeżywanej w bielawskim parku.

Zaproszenie do przeszłości

Usiadłam przed piękną fotografią, czarno-białą. Brzozy malowały się na niej wyraziście. Jak smukłe panny przystrojone w zwiewne sukienki stały dostojnie, pozwalając się podziwiać. Lekko pochylając swoje białe ciała, sprawiały wrażenie, że migoczą małymi listkami, szepczą do siebie. U ich stóp rozlewał się staw, po którym pływały gondole przybrane jak do wesela. Dotknęłam dłonią pomarszczonej tafl i... przeszył mnie dreszcz. Palce zanurzyły się w wodzie pachnącej naturą. Spojrzałam po sobie. Zdumiona zauważyłam, że ubrana jestem w długą sukienkę i mały, wesoły kapelusik. Usłyszałam delikatny plusk uderzających o powierzchnię wody wiosł. Mężczyzna z najbliższej gondoli skierował ją w moją stronę. Wstał i wyciągając do mnie rękę, zapraszał na pokład. Zwinnie jak młoda dziewczyna wskoczyłam do łódki. Powitały mnie uśmiechy i pozdrowienia płynących obok osób. Wokoło dźwięczał śmiech dziewcząt i rozbawione głosy panów. Ktoś śpiewał skoczną piosenkę. Rozglądałam się dookoła, nie mając odwagi spytać, co się dzieje.

Było ciepło, wiosenne popołudnie. W pobliżu stawu roztaczał swe uroki piękny park, w którym niby duży grzyb panoszył się dziwny domek. Przed nim poustawiano wiele ławek i stołów, a nad głowami ludzi porozwieszano na długich sznurach mnóstwo trójkątnych chorągiewek. Pomyślałam, że przystroili to miejsce na majówkę i następnego dnia okolica zapełni się ludźmi, straganami z drewnianymi zabawkami, wiatraczkami i z cukrową watą na patyku. Może nawet zobaczę katarzyniarza z papugą. Od strony budynku doleciał zapach aromatycznej kawy i słodkiego ciasta. Poczułam nieodparte łaknienie. Domyśliłam się, że przepływamy obok kawiarenki. Wspaniały pomysł: ładnie tu i spokojnie. Nagle ktoś dotknął mojego ramienia.

– Uła, kawa gotowa, zasnęłaś – usłyszałam głos męża.

Podniosłam głowę znad pięknej czarno-białej fotografii i uśmiech-

nęłam się tajemniczo. Mimo że jest jesień, włożyłam długą sukienkę, wsunęłam do kieszeni czarno-białą fotografię i pojechałam zanurzyć się w przeszłości. Do Bielawy, dzisiejszej Bielawy.

Drogi pamiętniku!

Langenbielau, 21.07.1936 r.

Dzisiaj wstałem o szóstej rano. Poszedłem do kuchni i zrobiłem sobie grzanki z masłem. Po kilku minutach do kuchni zeszli rodzice. Oznajmili, że dzisiaj pójdziemy do parku. Ogromnie się ucieszyłem. Odliczałem każdą minutę i sekundę. W końcu wybiła godzina jedenasta. Ubrałem się w nowe spodenki od babci Eli i koszulę, którą dostałem na gwiazdkę od babci Janki. Włożyłem i zasnurowałem buty i byłem gotowy do wyjścia.

Szliśmy krętą, wydeptaną ścieżką, aż w końcu doszliśmy do parku. Było tam mnóstwo drzew. Na polanie tato wyciągnął kosz z kanapkami i koc. Doszli do nas ciocia z wujkiem i kuzynami. Bawiliśmy się świetnie. Graliśmy w berka i chowanego. W tle słychać było muzykę graną przez miejską orkiestrę. Śmialiśmy się, gdy tata z mamą i wujek z ciocią zaczęli tańczyć.

Potem spakowaliśmy się i poszliśmy w stronę basenu. Po chwili doszliśmy do niego, wyglądał bardzo pięknie. Mnóstwo ludzi pływało łódkami, a tuż obok znajdowała się kawiarnia. Basen był otoczony brzoza. Tato wynajął łódkę i pływaliśmy po basenie przez dwie godziny. Widoki były cudne, podziwialiśmy otaczającą nas przyrodę i uśmiechaliśmy się do innych ludzi przepływających obok nas.

Gdy dopłynęliśmy do brzegu, poczuliśmy głód. Oprócz grzanek na śniadanie i tych kanapek na polanie nie jedliśmy nic. Poszliśmy do kawiarenki. Rodzice zamówili dla mnie herbatę, a dla siebie kawę. Do tego zjedliśmy pyszne ciastka z kremem. Tato zjadł aż pięć!

Ten dzień pozostanie w mej pamięci bardzo długo.

Miejski park to wspaniałe miejsce do wypoczynku. Musimy kiedyś powtórzyć ten piknik, ale następnym razem weźmiemy ze sobą więcej kanapek.

Das Sommerfest

Od samego rana w domu panował chaos. Obudziła mnie mama, wchodząc do mojego pokoju z drącą się niemiłosiernie Luisą na rękach. Nakazała mi przyszykować się szybko, „bo spóźnimy się na umówione spotkanie z rodziną Wagnerów”. Następnie wyszła, żeby wraz z ciotką uszykować jedzenie na piknik. Wygramoliłam się z łóżka, otworzyłam drzwi masywnej drewnianej szafy, jednocześnie wyglądając przez równie duże okno. Stwierdziłam, że jest ciepło, i że włożę szarą spódnicę kończącą się nad kolanami i specjalnie szytą na tę okazję białą koszulę z zapinanymi rękawami powyżej łokcia, z zaokrąglonym kołnierzykiem, pod którym podwiążę błękitną wstążeczkę (mamie się to na pewno nie spodoba, ale będzie tak zajęta, że na pewno nie zauważy). Włożyłam czarne polerowane półbuty. Usiadłam przed toaletką i zaczęłam czesać moje kręcone blond włosy obcięte do ramion. W końcu udało mi się związać je w warkoczki. Wyszłam z pokoju i zbiegłam po schodach, które przy każdym moim kroku trzeszczały.

Weszłam do kuchni i chwyciłam jedną kromkę z dżemem leżącą na stole. Zdążyłam przed kuzynostwem, które właśnie w tej chwili kłębiło się na trzeszczących schodach. Kiedy w końcu przestali się przepychać, lawina ludzkich stóp ruszyła w kierunku stołu, przy którym stałam. Pośpiesznie chwyciłam jabłko i wycofałam się do pokoju dziennego, z którego doskonale słyszałam krzyki mojej mamy i ciotki, aby Amelia i Emilia się uspokoiły. W tym czasie dwa małe potwory nazywane moimi młodszymi kuzynami zdążyły naładować sobie do kieszeni ciastek. Zza drzwi jednego z pokoi gościnnych wychylił się Alan, najstarszy z piątki rodzeństwa. Wysoki blondas o jasnoniebieskich oczach. Gdy mnie zobaczył, jakaś niewidzialna siła złapała jego poliki i rozciągnęła jego uśmiech od ucha do ucha.

– Masz coś dla mnie? – spytał.

Przytaknęłam i wystawiłam rękę z jabłkiem w dłoni. Chłopak zlał owoc, przystawił do ust i ugryzł.

– Dzięki – odparł, mieląc jabłko w buzi.

Czasami nie mogę uwierzyć, że jest ode mnie starszy. Już miałam zamiar coś powiedzieć, gdy mama poprosiła mnie, żebym przyniosła powidlą.

Poszłam do piwnicy. Rozejrzałam się po półkach. Otworzyłam szafkę i zobaczyłam je: stały na półce i śmiały się ze mnie. Chwyciłam dwa weki i już miałam wspiąć się po schodkach, gdy zobaczyłam ją. Leżała poskładana na ziemi. A jej czerwień nawet w ciemności była krwista. Nasza flaga. Z której powinniśmy być dumni. Przyprawiła mnie o mdłości, a swastyka wirowała mi w oczach. Próbowałam przywrócić do ładu moje skrzywione usta. Przypomniała mi się rozmowa z mamą i widok smutnej twarzy ojca: „Nie możemy się wychylać”. Łzy zakręciły mi się w oczach. Pozbierałam się i ze sztucznym uśmiechem weszłam do kuchni. Wcisnęłam do koszyka słoiki i wyszłam pośpiesznie, nie patrząc matce w oczy.

Poszłam do ogrodu, żeby się uspokoić. Usiadłam na hamaku i starałam się poskromić wirujące wspomnienia, które wywoływały mój ogromny smutek. Obrazy przesuwaly mi się przed oczami. Widziałam papę, dużą skórzaną walizkę i jego pięknie wypolerowane wojskowe buty i mundur, z którego kiedyś był dumny.

Moje wspomnienia przerwał głos mamy, która stała w drzwiach wychodzących na ogród. Wszyscy byli gotowi do wyjścia. Poderwałam się z hamaka i podeszłam do nich. Bliźniaczki ubrane w czarne spódniczki i białe koszulki trzymały ciotkę za rękę. Bardzo się denerwowały, bo miały śpiewać w chórze na festynie. Trzymały nieduże koszyki i wymachiwały nimi. Moja mama natychmiast do skarciła. Chłopcy pomimo różnicy wieku ubrani byli podobnie: spodenki kończące się nad kolanami, piaskowe koszule, a jedyną różnicą był inny rodzaj chusty podwiązanej pod kołnierzem Alana. Młody mężczyzna trzymał najcięższy koszyk i pilnował swoich młodszych braci. Mama trzymała śpiącą Luisę, ubraną w piaskową sukieneczkę i czarne buciki. Za to ja dostałam koszyk z wekami, które wciąż się ze mnie śmiały. Tak wyprawieni ruszyliśmy w stronę parku.

Przez większość drogi wpatrywałam się w wypolerowane czubki moich butów. Alan usiłował zapanować nad chłopcami, a mama

i ciotka rozmawiały o mało istotnych sprawach. Dopiero gdy wspomniały o wujku, uniosłam głowę do góry i wyteżyłam słuch, jednak rozmowa szybko się urwała, a ja zarejestrowałam, że jesteśmy na Hindenburgplatz. Rozejrzałam się, by sprawdzić, która jest godzina na budynku „Konsumverein Selbsthilfe”. Skręciliśmy w prawo i przeszliśmy koło „Palast Theater”, na którego drzwiach widniał plakat filmu „Hitlerjunge Quex”. Zrobiło mi się duszno, a słoiki zaczęły mi ciążyć. Skręciliśmy w Schulestraße, pogawędziłam trochę z Alanem, lecz nie trwało to długo, gdyż zaszliśmy do parku i powitała nas rodzina Wagnerów. Gdy pan Wagner zabierał ode mnie koszyk, a pani Wagnerowa witała się z moją mamą i ciotką, podbiegła do mnie Laura, piegowata wysoka dziewczyna o brązowych długich włosach i przepięknych szafirowych oczach. Złapała mnie za ręce i uściśnęła serdecznie. Była moją przyjaciółką, lecz wciąż nie przyzwyczaiałam się do jej bliskości.

Wszyscy razem poszliśmy pod scenę, gdzie bliźniaczki odłączyły się od ciotki i poszły do swojego rzędu w chórze. Nie skupiałam swojej uwagi na wychodzącym na scenę mężczyźnie w mundurze, rozglądałam się po ludziach. Dostrzegłam właściciela lokalu „Deutsche Haus” – Georga Ludwiga i Heinricha Thielscha – dzierżawcę browaru „Bergbrauerei”. Z tłumu wyróżniał się elegancko ubrany mężczyzna – Franz Rosenberger. (Nasza willa w porównaniu z jego wyglądała bardzo skromnie, a nawet ubogo). Gdy mężczyzna na scenie skończył wypływać ze swoich ust czarne słowa o grudowatej konsystencji i wypowiedział znane nam wszystkim „Heil Hitler”, a ze sceny popłynął głos dzieci śpiewających „Der Führer Ruft”, zdałam sobie sprawę, że dłonie zaciskam tak mocno, iż krew nie dopływa mi do palców.

Po ceremonii otwarcia ja i Laura poszliśmy w stronę stawu gondolowego, za to nasi rodzice wraz z moją ciotką zostali, by poszukać wolnego miejsca przy stolikach ustawionych niedaleko sceny. Bliźniaczki, ku ucieście publiczności, wciąż śpiewały, a Alan, widząc chłopców w swoim wieku, pognął ku nim, zostawiając ciotce na głowie te małe potwory. W gondolach siedziały pięknie poubierane panie z pięknie przyodzianymi mężczyznami. Wraz z Laurą przyglądaliśmy się temu pięknemu obrazowi, aż w końcu zadała mi pytanie, jakie ciągle ją nurtowało.

– Jak długo zostanie Alan?

Uśmiechnęłam się pod nosem, gdy zauważyłam, że się rumieni.

– Nie wiem. Pewnie do momentu, aż przyjedzie wujek – odparłam.

– A dlaczego go nie ma? – spytała.

– W sumie to też nie wiem – odpowiedziałam.

– Kłamiesz, po prostu nie masz ochoty powiedzieć – naburmuszyła się.

To nie była prawda. Nikt nie mówił nic o pracy wujka ani gdzie wyjeżdża, a ja nie pytałam. „Nie bądź ciekawska!” zabrzmiało mi w uszach.

Z daleka widać było Alana z kolegami. Laura poprawiła włosy i oparła ręce o barierki, ja za to przyglądałam się Gercie Kröger, która wychylała się z gondoli i... wpadła do wody! Obie z Laurą nie mogłyśmy powstrzymać śmiechu: w końcu napuszczona Gerta dostała za swoje. To piękne przedstawienie niestety przerwał nam Emil (dobry przyjaciel Alana), który wskoczył do wody i ją wyłowił. Gerta pognęła do swoich rodziców, pośpiesznie dziękując Alanowi, który pomógł jej wyjść z wody. Zaraz po niej wylazł Emil, przemoknięty do suchej nitki. Obaj zaczęli się śmiać. Nam już nie było tak do śmiechu, zwłaszcza, że szli w naszą stronę. Alan odezwał się pierwszy:

– Widziałyście? Bohater! – wyszczerzył się.

– Taa, jakich mało – wycodziłam przez zęby.

– Nie bałeś się? – spytała Emilia coraz bardziej oblana rumieńcem Laura.

– Nie myślałem nad tym – odpowiedział, przeczesując mokre włosy palcami.

– No bo po co myśleć? – spytałam ironicznie.

– Czemu jesteś niemila? – spytał Alan.

– Nie jestem – burknęłam.

Złapałam Laurę za rękę i zaciągnęłam do jednej z wystaw, gdzie były ręczne obszywane chusteczki. Oni poszli jednak za nami.

Rzuciłam Alanowi spojrzenie: „Przecież mieliśmy się nie wychylać, a ty... Przecież wszyscy na niego patrzą!”, jednak on nie zareagował. Powiedział tylko:

– Ładna wstążka – i dotknął wstążeczki podwiązanej pod moim kołnierzykiem. Nic nie odpowiedziałam, gdyż zdałam sobie sprawę, że on nie odpuści.

Gdy Alan zwrócił uwagę Laury na jeden z haftów, mogłam prze-prosić Emila. Więc jeśli miałam to zrobić, to przynajmniej jak należy – wyciągnęłam w jego stronę rękę i powiedziałam:

– Przepraszam.

– Nie ma problemu – i uściśnął moją dłoń.

Natychmiast ją puściłam i wróciłam do podziwiania haftu, Alana jednak nie zadowolili taki obrót sprawy. Chwycił mnie i Laurę pod boki i zaciągnął nad staw gądłowy. Mnie posadził w gondoli z Emilem, a sam usiadł z Laurą. Odpłynęli od nas na znaczną odległość, ale nawet mimo tego mogłam dostrzec mocno czerwony pąs na twarzy Laury. Chciało mi się śmiać i dziękowałam opatrznoci, na ziemię sprowadził mnie jednak wzrok Emila. Nie mogłam znieść tego spojrzenia. Albo nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje, albo nic sobie z tego nie robił.

– Dlaczego jesteś na mnie zła? – spytał smutnym głosem.

– Nie jestem – ucięłam szybko.

– W takim razie dlaczego nie jest tak jak kiedyś?

Miałam ochotę wstać i wykrzyczeć mu prosto w twarz, że już nigdy nie będzie tak jak kiedyś. Zrobiło mi się duszno, oczy zaczęły mi się szklić i poczułam, jak krew uderza mi do głowy, rozpychając naczynia krwionośne. Napięłam wszystkie mięśnie, by nie uronić łzy, jednak ona chciała się wydostać z mojego oka. Popłynęła po policzku, zostawiając na nim mokrą smugę, po czym zatrzymała się niepewnie na brodzie, aż spadła do wnętrza gondoli. A zaraz za nią inne łzy. Zakryłam twarz rękoma. „Przestań płakać, to jest żałosne” – pomyślałam, ale miałam ochotę ryknąć i czołgać się ze smutku.

Zaniepokojony moją reakcją Emil objął mnie ramieniem, tak jak wtedy gdy byliśmy mali.

– Przepraszam – powiedział.

– Za co? – chlipnęłam. Chciałam wiedzieć, czy zrozumiał.

– Za to, że doprowadziłem cię do płaczu – odparł.

„Nie rozumiał”. – Opamiętałam się szybko. Przestałam płakać i wyslizgnęłam się z jego uścisku. Byliśmy na tyle blisko brzegu, że po jednym skoku znalazłam się na lądzie. Mój lewy rękaw był wilgotny, a oczy lekko napuchnięte. Nie mogłam tak iść do mamy, zaraz zaczęłaby zadawać pytania. Skierowałam się w stronę „Parkgaststätte”. Słyszałam czyjeś kroki, więc przyspieszyłam i szybko weszłam do ka-

wiarni. Usiadłam przy ostatnim stoliku po prawej stronie. Niedaleko mnie siedziała Martha Tiepelt. Ta silna kobieta, jak zwykle umorusana ziemią, piła herbatę. Otworzyły się drzwi i wszedł Emil. Martha odwróciła się w stronę wejścia, przymrużyła oczy, po czym wbiła wzrok w swoją filiżankę herbaty. Chłopak przeszedł przez niewielką kawiarenkę i przysiadł się do mnie, a cała ta chwila zdawała się trwać wiecznie. Przyglądał mi się krótko, po czym przerwał ciszę:

– Rzeczywiście ładna wstążka – powiedział, uśmiechając się niewyraźnie.

Nie zrozumiałam.

– Pamiętam ją skądś – ciągnął. – Czy to nie ta...

– Tak. To ta – przerwałam mu.

– Dlatego jesteś zła.

„Co? Nie, to nie to!” – pomyślałam.

– Dlatego, że się „wychyłam”? Ale wiesz, że jeszcze nic nam nie udowodniono.

„Co?” – nic nie mówiłam, patrzyłam jedynie pytająco.

– No... wiesz, że mój tata jest...

– Tak, wiem – pozwoliłam mu skończyć. – Chodźmy stąd. Ściany mają uszy – dodałam cicho.

Całe popołudnie spędziliśmy, pływając gondolą, i rozmawialiśmy tak samo lekko jak kiedyś, choć coś się zmieniło i już się domyślałam, co. Mijały dni i tygodnie, w ciągu których mocno zżyłam się z Emilem.

Tego dnia mieliśmy się spotkać przy stawie gondolowym. Włożyłam granatową sukienkę i zarzuciłam na to płaszcz. Wyszłam z domu, w którym teraz, bez ciotki i kuzynostwa, było tak cicho. Ruszyłam przez ulice Langenbielau i dotarłam do parku. Byliśmy umówieni na szesnastą. Czekałam dwadzieścia minut. Nikt się nie zjawił. „Może coś go zatrzymało?” – pomyślałam.

Poszłam do kawiarni i przeczekałam kolejne dwadzieścia minut. Zaniepokojona ruszyłam w stronę jego domu. Doszłam do Webschulstraße i skręciłam w prawo, by dostać się do budynku po drugiej stronie rzeki. Zapukałam do drzwi. Nikt nie otworzył. Poczułam pot na czole i suchość w gardle. Próbowalam przełknąć ślinę. Chwyciłam za klamkę. Drzwi były otwarte. Włosy stały mi dęba.

Przeszłam przez przedpokój, gdzie wisiało duże stare lustro. Przejrzałam się w nim. Zobaczyłam kręcone blond włosy w nieładzie i przestraszone piwne oczy. Usta zająknęły się, po czym wyrzuciły z siebie:

– Jest tu kto?

Cisza.

– Halo?

Cisza.

Strach zająknął do każdej komórki mojego ciała. Rzuciłam się w stronę schodów prowadzących na piętro. Otworzyłam drzwi do pokoju Emila. Pusto. Nikogo nie ma. Jedyne, co widać, to porozrzućcane po całym pokoju dokumenty, notesy, zdjęcia i opaska ze swastyką. Zamarłam. To nie mogło być to! Ten okropny znak zabiera wszystkie osoby, które kocham! Rzuciłam się na łóżko i zaczęłam płakać. Uderzałam rękami w materac i wierzgałam nogami tak mocno, że spadałam z łóżka na podłogę. Bolało mnie. Wszystko mnie bolało. Serce, dusza i ciało. Wszystko. Przeszukałam podłogę w poszukiwaniu czegoś istotnego. Znalazłam nasze wspólne zdjęcie z tego roku: jesteśmy u mnie w ogrodzie, śmiejemy się i jesteśmy szczęśliwi. Poderwałam się z podłogi, z szafy wyciągnęłam koszulę Emila, do kieszeni schowałam przepaskę ze swastyką i nasze wspólne zdjęcie.

W nocy tego samego dnia poszłam nad staw gondolowy, podpaliłam opaskę ze swastyką i wrzuciłam do wody. Pomodliłam się i przeżegnałam: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen.

Zapach jabłek

Na szydełkowym bieżniku leży stara fotografia, której nigdy wcześniej nie widziałam. Patrzę na uśmiechnięte twarze i zabawne łódki. Nie wiem, gdzie zostało zrobione to zdjęcie. Na odwrocie ktoś napisał wierszyk:

Ruszamy nad stawy!

W parku krotchwile:

Dziś pora zabawy!

Precz automobile!

Ruszamy nad stawy!

Żują imbecyle

Fikuśne potrawy

Ociężałe grzdyle...

Ruszamy nad stawy!

W piersiówkach promile

Dla zdrowia poprawy.

Lekcy jak motyle

Ruszamy nad stawy!

Pstrokate badyle

Dodadzą oprawy

Gondole-azyle!

Ruszamy nad stawy!

– Kto to napisał? – zapytałam.

Babcia właśnie wyjęła szarlotkę z piekarnika. Staje w drzwiach pokoju.

– Wkładaj płaszcz, idziemy na spacer – zbywa moje pytanie.

Poprawiam babci kołnierz. Siadam obok niej na ławce. O tej porze w parku jest cicho. Tylko od czasu do czasu jakiś kasztan upadnie na zeschnięte liście albo samochód przejedzie drogą obok. Przed chwilą jeszcze było słonecznie, ale teraz znowu się zerwał typowy bielawski wiatr – porywisty, nagły, górski. Odkąd wyszliśmy z domu, babcia niemal się nie odzywa. Wiatr rozwiewa jej białe włosy i niedbale zawiązany szalik. Babcia sprawia wrażenie nieobecnej, dlatego próbuję ją uspokoić, kiedy mówi:

– Cudny zgiełk!

Kładzie pomarszczoną, poplamioną dłoń na mojej ręce i ledwie wyczuwalnie zaciska palce. Jej oczy błyszczą, a na twarzy błąka się cień uśmiechu.

– Wiedziałam, że on będzie mój! Koszulę miał wykrochmaloną, jak obrus na święta... – przez chwilę chichocze jak dziewczynka. Ociera chusteczką ślinę z brody. Odwracam wzrok i zaczynam liczyć chmury.

– Zimno się robi, chodźmy do domu.

Puszcza moje słowa mimo uszu. Zaciska kościste palce na moim nadgarstku.

– To było pod koniec lat trzydziestych. Siedział w kajaku z paroma innymi. Strasznie hałasowali... A na kajaku poprzyczepiane były... Jak się nazywają takie łuki, na których rosną rośliny? Takie jak u Kosowskich na działce...

Domyślałam się, że babcia mówi o fotografii, z której przed niespełną godziną odczytywałam wiersz.

– Pergole?

– No! Przymocowali pergole do kajaków! Chcesz miętówkę?

– Babciu! Przecież nie wolno ci jeść cukierków!

– W moim wieku to już wszystko wolno! – tupie obiema nogami i energicznie wstaje z ławki.

Chcę podać jej ramię, ale opędza się ode mnie jak od niegrzecznego pieska. Idę więc za nią. Zatrzymuje się na mostku i patrzy na staw.

– Wtedy mieszkało tu najwyżej dziesięć polskich rodzin. Trudno to sobie teraz wyobrazić, ale tutaj były przecież Niemcy. I Albert był oczywiście Niemcem. Takim typowym aryjczykiem: jasne włosy, jasne oczy. No i ta jego wykrochmalona koszula. Rozumiesz?

Przez chwilę nie rozumiałam. Przywykłam do traktowania babci jak dużego dziecka. Czy chciałabym, żeby ktoś kiedyś w ten sposób obchodził się ze mną? Przecież stojąca obok mnie kobieta przeżywała, tak jak ja, miłości, rozstania, codzienność. Jest matką i żoną. Była też nastolatką, która na własne oczy widziała wojnę. I małą dziewczynką z Langenbielau.

– Babciu?

Patrzy w kierunku stawu.

– Szłyśmy z mamą na basen. Mama, ja i moja siostra Bronia. Bronia nie przeżyła wojny. – Wtrąca mimochodem, jakby mówiła, że jej siostra kupiła sobie parę nowych butów. – To Bronka ich wypatrzyła. Śmieszni byli! Zaraz zbiegła się cała zgraja brudnych dzieciaków, które rzucały w nich patykami.

– Patykami?

– Patykami. Zrobił się hałas, że hej! Dzieciaki próbowały przekrzyć harmider z basenu. My z Bronką też wrzeszczałyśmy. Pierwszy raz widziałam wtedy aparat. No, bo był jeszcze fotograf. Robił zdjęcia gondolom. Ale najwięcej to patrzyłam na Alberta. Pięknie się prezentował w tej łódce. Uśmiechnął się i pomachał do mnie. A później zjął tę swoją wykrochmaloną koszulę. Obiecałam sobie wtedy, że kiedyś będzie mój.

– Ile miałaś wtedy lat? Dziesięć?

– Siedem.

– A ten Albert?

– Dziewiętnaście.

„No proszę, niezłe ziółko z babci!” – pomyślałam.

– I w tym stawie kąpali się ludzie?

– W tamtym. Tam był basen, a tu przystań łódek. Ja nazywałam je „kajaki”, ale raczej mówiło się u nas „gondole”. A tutaj była restauracja. Co jest teraz w tamtym budynku?

– W weekend można wypożyczyć tam kajak, to znaczy gondolę.

– Wszystko powraca. Jak coś jest dobre, to powinno wracać.

– Chyba nie chciałabym się kąpać w tej brudnej wodzie. – Mówiąc to, od razu się zastanawiam, czy mam rację, że woda w stawie rzeczywiście jest brudna, ale babcia puszcza moją uwagę mimo uszu. Jest w świecie swoich wspomnień.

– Po basenie poszliśmy z mamą na lody do parkowej restauracji. Był tam ze swoimi kompanami. Pili piwo i hałasowali, jak to chłopaki w niedzielę. Kiedy mama odeszła na chwilę do innego stolika, żeby przywitać znajomą, wykorzystałam ten moment, podbiegłam do jego stolika i zapytałam: „Wie heisst du?”. Powiedział, że mam śmieszny akcent, ale przedstawił się: „Albert Johann Glass”, czyli Albert Szkło. Od tej pory każda szyba i szklanka kojarzyła mi się z Albertem. Wypatrywałam go na ulicy. Raz spotkałam go u szewca, raz jak siedł dokądś Dierigstrasse... Ale najlepiej pamiętam ten dzień w styczniu czterdziestego trzeciego roku, kiedy mieszkaliśmy już u Frau König w Reichenbach. Wzięła mamę na gosposię, chociaż mama miała na wychowaniu dwie nieletnie córki. Tego dnia Frau König wysłała mamę na dworzec. Mama miała przekazać paczkę jakiemuś mężczyźnie jadącemu do Wrocławia, do Breslau. Mama miała jasne włosy i doskonale mówiła po niemiecku, ale przecież nie była Niemką. Podczas wojny cały czas się bała, że dla jakiegoś urzędnika nie będzie miało znaczenia, kto jest kuzynem Frau König, i że ją gdzieś wywiozą na roboty, oddzielą od córek. (Chciałam zapytać, kto był kuzynem Frau König, ale nie ośmieliłam się przerwać babci. Dobrze się słuchało tej opowieści.) Bronia dostała wysokiej gorączki i mama, umierając ze strachu, wysłała na dworzec mnie. Bez trudu znalazłam tamtego mężczyznę i oddałam mu paczkę. W tym samym czasie na peron wjechał pociąg, z którego wysiedli żołnierze. Był tam też Albert. Przyjechał na przepustkę. Nawet się nie zastanawiałam. Poszłam za nim. Musiałam wiedzieć, gdzie mieszka! Kiedy już dochodził do domu, nagle się odwrócił i mnie zobaczył. Podbiegłam do niego i powiedziałam: „Albert, ich liebe dich!”. Uśmiechnął się, wziął moją twarz w dłoń i pocałował mnie w czoło. Powiedział, że jak jest wojna, to nie można kochać i poszedł. Kilka dni później Bronia umarła na dyfteryt. Myślałam, że oszaleję z żalu za nią. Poszłam do jego kamienicy i pukałam od drzwi do drzwi. Głupia byłam. Ktoś mógł wezwać policję, chociażby z powodu mojego akcentu. Wreszcie otworzyła jego matka. Później jakoś tak się złożyło, że moje wizyty w tym domu stały się częstsze. Można powiedzieć, że zaprzyjaźniłam się z matką Alberta. Kiedyś jadłyśmy jabłka i patrzyłyśmy na to zdjęcie. Powiedziałam jej, że byłam tam, kiedy zostało zrobione.

A później dla rozrywki ułożyłam wierszyk...

– Ten z tyłu fotografii?

– Nie. Tamten napisał znajomy Alberta, fotograf. Mój jest ten. Weź sobie na pamiątkę.

Przeszywa mnie dreszcz. Zabrzmiało to trochę, jak pożegnanie. Babcia wyjmując z tajemnej kieszeni torebki pożyłkłą, do granic niemożliwości wymiętą kartkę, na której napisała dawno temu:

Gondolier

Nosiłem cię na rękach,
Płoszyłem kaczki w stawie,
Dałem ci łódkę z kory,
Płakałem nieraz prawie.

A ty się śmiałaś: „rudy!”,
A ty nie byłaś w sosie,
Wzdychałaś ciągle: „nudy!”
I miałaś muchy w nosie.

Ech, grałaś ze mną cudnie!
Lecz dość mam takiej doli!
Widziałem cię w południe:
Wsiadałaś do gondoli.

Choć były tam same draby,
A ty – panienka w sukience,
Pognałaś sama nad stawy,
Podałaś tamtemu rękę...

Roztropniej bym wybierał.
Wkrótce utoniesz we łzach!
To prostak z Langenbielau,
Ja jestem z Reichenbach!

Langenbielau, 25 września 1944 r.

Powstanie Warszawskie dogorywało. W New Brunswick urodził się Michael Douglas, a moja babcia umierała z tęsknoty za Albertem Glassem i pisała wiersz.

– Zabawny – mówię.

– Zawsze aktualny. Langenbielau i Reichenbach. My i oni. Polacy i Niemcy... Myślę, że właśnie dlatego nic z tego nie wyszło. Różnica wieku między nami nie była wcale jakaś przesadnie duża. Zresztą kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym Albert wrócił do Dzierżoniowa, ja miałam już dziewiętnaście lat.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym?

– Po wojnie nie było tutaj miejsca dla zwykłych mieszkańców, a co dopiero dla żołnierzy, którzy zabijali aliantów. Albert był w Afrikakorps. Niemców wysiedlono. Ale matka Alberta została. Dzięki mnie znała trochę polski, więc udało jej się przekonać urzędników o swoim polskim pochodzeniu. W akcie urodzenia nie miała wpisanego nazwiska ojca, więc skłamała, że był Polakiem. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak jej się to udało. Przecież wysiedlono niemal wszystkich.

– Ale Albert wrócił!

– Tak... – Babcia zamyśla się, jakby ważyła słowa. – Pewnego dnia odwiedziłam Frau Glass. Mieszkałam razem z twoją prababcią w Bielawie, ale codziennie jeździłam do pracy w Diorze, wtedy zakłady nazywały się inaczej... Trzeciego października tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku matka Alberta przywitała mnie, wołając od progu, że Albert przyjeżdża. Musiałam na niego pocze-kać! Nie widziałam go tyle lat! Żeby się czymś zająć rwałałam jabłka z drzewa, które Albert zasadził w ogrodzie, kiedy był jeszcze małym chłopcem. I wtedy zobaczyłam go z tamtą kobietą.

– Jak to z kobietą?!

– Zwyczajnie. Jak to w życiu. W Niemczech się ożenił i przyjechał przedstawić matce swoją żonę. Była już w widocznej ciąży. I była przepiękna. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie widziałam z bliska tak pięknej kobiety.

– I matka Alberta o niczym nie wiedziała?

– Nie wiem. Zresztą, jakie to w ogóle ma znaczenie? Jakoś tak bezwiednie chwyciłam torbę z jabłkami i zanosząc się płaczem, pobie-

głam na dworzec. Jechałam do domu, pociąg turkotał, a ja jedno po drugim wyrzucałam przez okno te przeklęte jabłka.

– Babciu? – przytulałam się do niej. – Ale później przecież poznałaś dziadka.

– No tak. W tym pociągu go poznałam – śmieje się, po czym dodaje bardzo poważnie, nostalgicznie i cicho. – Ale to Albert był największą miłością mojego życia.

Miłosne wspomnienie

Pewnie myślicie, że jestem starą, zgryźliwą staruszką o bujnej, siwej czuprynie, przygarbionej sylwetce i pomarszczonym ciele, która nigdy nie była młoda, a jej życie polega jedynie na wizytach u lekarza i zażywaniu tabletek przeciwbólowych. Za każdym razem, gdy przechodzę koło miejskiego parku, wracają dawne wspomnienia. I wtedy zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę inni się myślą. Otóż ten park jest trochę taki jak ja. Ma swoją przeszłość, o której wielu nic nie wie albo już nie pamięta.

Kiedy przenoszę się sześćdziesiąt lat wstecz, to przed oczami ukazuje mi się widok cudownego parku z ogromnym basenem. Można powiedzieć, że było to miejsce jak z bajki. Znajdowało się tam ogromne kąpielisko z trampoliną i natryskami, a niedaleko wejścia stały długie baraki z przebieralniami. Jednak nie były to jedyne atrakcje. Kolejną z nich był staw gondolowy, na którym urządzono sztuczną wyspę. Niedaleko wybudowano „Kawiarnię Parkową” z obszernym tarasem, na którym zawsze znajdowało się pełno ludzi. Pamiętam, jakby to było wczoraj. Słoneczny, czerwcowy dzień. Zmęczona po całym dniu pracy w fabryce postanowiłam się zrelaksować, pływając gondolą. To jedyne zajęcie, podczas którego wypoczywałam. Niestety, ku mojemu zdziwieniu wszystkie łodzie były zajęte. Kiedy miałam już odchodzić, usłyszałam czyjś głos. Odezwał się nieznajomy mężczyzna, który zaproponował, żebym płynęła razem z nim. Przy stojny blondyn z kryształowymi, niebieskimi oczami, jasną cerą, dobrze zbudowaną sylwetką, a na dodatek elegancko ubrany. Miał w sobie coś, co przykuło moją uwagę, zgodziłam się więc i dosiadłam do niego. Gdy płynęliśmy, zrobiłam to, co zawsze: zamknęłam oczy i wsłuchiwałam się w cudowny śpiew ptaków. Jednak przez cały czas czułam na sobie czyjś wzrok. Okazało się, że tajemniczy nieznajomy uważnie mi się przyglądał. Właściwie po chwili przestał już być

nieznajomym. Przedstawił się i zaczął rozmowę. Nie wiem kiedy, ale całkiem straciłam poczucie czasu. Nie zauważyłam nawet, że zrobiło się ciemno i zostaliśmy jedynymi osobami w parku. Wcale mi to nie przeszkadzało. Bardzo dobrze czułam się w jego towarzystwie. Na moje nieszczęście musiałam już wracać do domu. Maciej, bo tak miał na imię, postanowił mnie odprowadzić, a ja oczywiście się nie sprzeciwiałam. Szliśmy w milczeniu, ale ta cisza w ogóle nie była niezręczna. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś się zobaczymy, czy tak po prostu wszystko się skończy. Niestety, znaleźliśmy się przed moim domem, a ja wciąż nie usłyszałam tak długo wyczekiwanego przeze mnie pytania: „Może spotkamy się jeszcze?”. Te słowa przez cały czas tak bardzo chciałam usłyszeć! Było mi przykro, że musimy się już pożegnać i być może nigdy więcej się nie zobaczymy. Nie mogłam na to pozwolić i wzięłam sprawy w swoje ręce.

Zaproponowałam kolejne spotkanie. Od tego momentu spędzałyśmy ze sobą każdą wolną chwilę. Chodziliśmy na basen, pływałyśmy gondolą i spacerowaliśmy po parku, rozmawiając ze sobą na wszystkie możliwe tematy. Jeszcze nigdy nie czułam się tak dobrze w czyimś towarzystwie. Nie wiem, jak to możliwe, ale przy nim zapominałam o wszystkich problemach i po prostu byłam szczęśliwa. Niestety, pewnego dnia kontakt się urwał. Byliśmy umówieni w naszej ulubionej kawiarni, ale on się nie zjawił. Czekałam na niego i usprawiedliwiałam go w myślach, że na pewno zaraz przyjdzie, że pewnie coś mu wypadło i nie mógł przyjść na czas. Jednak tak się nie stało. Smutna wróciłam do domu z nadzieją, że jutro go zobaczę i wszystko się wyjaśni. Myliłam się. Nie przyszedł, nie odezwał się. Zaczęłam się martwić, bo minęło już kilka dni, a ja wciąż nie miałam od niego żadnych wiadomości. Postanowiłam go odwiedzić, ale nikt nie otwierał drzwi. Sąsiedzi zapewniali mnie, że na pewno jest w domu. Ale dlaczego nie otwierał? To pytanie wciąż nie dawało mi spokoju. Skoro nie mogłam się dowiedzieć, o co chodzi, rozmawiając z nim prosto w oczy, stwierdziłam, że napiszę do niego list i może tak uda mi się wyjaśnić całą tę sytuację. Nazajutrz ponownie go odwiedziłam, tym razem zostawiając ten list.

Bielawa, 25.07.1931 r.

Drogi Macieju!

Sama nie wiem, od czego zacząć. Zacznę od tego, jak bardzo się o Ciebie martwię, jak przykro mi jest, że nie chcesz ze mną rozmawiać i mnie unikasz.

Zastanawiam się, co takiego źle zrobiłam, i nie potrafię tego wytłumaczyć. Przez cały czas układam sobie to wszystko w głowie i próbuję Cię usprawiedliwić, ale nie umiem. Po prostu nie mogę zrozumieć, dlaczego osoba, którą tak kocham, może mnie krzywdzić. Jesteś jedyną osobą, przy której czuję się tak dobrze. Każda chwila spędzona z Tobą jest dla mnie czymś wyjątkowym. Przy Tobie jestem szczęśliwa i zapominam o wszystkich problemach.

A Ty znikasz bez słowa wyjaśnienia i myślisz, że wszystko samo się ułoży, że jeśli tak po prostu znikniesz, to o Tobie zapomnę. Otóż nie. Nie można ot tak zapomnieć o kimś, kto był naprawdę ważny! Być może zerwanie ze mną kontaktu jest dla Ciebie proste, ale choć przez chwilę mógłbyś pomyśleć o mnie. O tym, jak ja się czuję. Jedyłą rzeczą, jakiej od Ciebie oczekuję, jest krótkie wyjaśnienie. Wiem, że może być ono dla mnie bolesne, ale zawsze lepsza najgorsza prawda niż najlepsze kłamstwo. Jeśli mi to wytłumaczysz, to może uda mi się z tym pogodzić i zacząć normalnie żyć. Nie będę się już gubiła we własnych domysłach.

Mam nadzieję, że mój list skłoni Cię do refleksji i spowoduje, że odezwiesz się do mnie choć ten jeden, ostatni raz.

Twoja na zawsze
kochająca Cię Łucja

Kiedy następnego dnia wracałam do domu, zobaczyłam na schodach znajomą postać. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom: to był Maciej! Z wielkim bukietem czerwonych róż, ubrany w garnitur szedł w moim kierunku. Objął mnie i za wszystko przeprosił. Wytłumaczył, że przez chwilę się pogubił i nie był pewny swoich uczuć, że tak naprawdę jestem dla niego bardzo ważna i że nie wyobraża

sobie życia beze mnie. Ukłękął, wyciągnął pierścioneł i zapytał, czy za niego wyjdę. A ja? Cóż innego mogłam zrobić? Oczywiście się zgodziłam!

Tak skończyła się moja historia. Chyba zawsze będę miło wspominać ten park, ponieważ to właśnie w nim przeżyłam jedne z najpiękniejszych chwil, a przede wszystkim spotkałam miłość swojego życia. Być może to miejsce wygląda dzisiaj zupełnie inaczej niż kiedyś i dla niektórych jest tylko terenem porośniętym starymi drzewami, ale dla mnie to cudowne miejsce, dzięki któremu zawsze robi mi się cieplej na sercu i zapominam o przykrej starości.

Sen czy jawa?

Było piękne, słoneczne i ciepłe czerwcowe popołudnie. Jak zwykle siedziałam w domu. Nie chciałam nigdzie wychodzić. Wtedy zdarzyło się coś magicznego.

Jak większość dzieci w moim wieku spędzałam czas przed ekranem komputera. Bardzo się nudziłam. Szukałam czegoś ciekawego w Internecie. Niestety, nic nie znalazłam. Postanowiłam włączyć telewizję, której nie oglądałam od dwóch dni. Przełączając z kanału na kanał, zobaczyłam zdjęcie z archiwum mojego miasta. Było ono czarno-białe. Jak większość zdjęć z tamtych lat. Byłam ciekawa, co to za miejsce. Zaczęłam szukać informacji w Internecie. Poznawanie historii mojego miasta było bardzo ciekawe. Wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Nie wiedząc jak i kiedy, przeniosłam się w lata 30. XX wieku. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Chodząc po szarych chodnikach, zobaczyłam park. Dobiegały z niego głośnie śmiechy i muzyka. Bez zastanowienia poszłam sprawdzić, co tam się dzieje. Zobaczyłam tłumy ludzi, tańczących przy muzyce akordeonu. Dorośli wraz z dziećmi ustawiali się w kolejkach, by popływać po stawie gondolą. Postanowiłam, że także popłynę. Nadeszła moja kolej. W gondoli siedziałam z dziewczyną o imieniu Klara. Pływałyśmy już około dziesięciu minut i kołysanie gondoli sprawiło, że w pewnym momencie zasnęłam. Obudziłam się przed ekranem komputera. Okazało się, że to był tylko sen. Byłam smutna, a zarazem wesoła. Nie wiem, czy chciałabym żyć w tamtych czasach. Ale na pewno Bielska była wtedy pięknym miastem, a ludzie czuli się bardzo szczęśliwi.

Choć to tylko sen, to i tak bardzo mi się podobał. W pewnym sensie była to przygoda, którą na pewno chciałabym kiedyś powtórzyć.

Stara fotografia

Dzisiaj pani pokazała nam starą fotografię Bielawy i powiedziała, że ogłoszono konkurs na opowiadanie lub wiersz, którego tematem będzie właśnie ta fotografia. Chciałem wziąć udział w tym konkursie, ale przez cały dzień nie wiedziałem, co napisać. Chodziłem po całym domu z fotografią w ręce, mając nadzieję, że w końcu przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł. Wieczorem poszedłem do piwnicy, a gdy tato otworzył drzwi do garażu, podmuch powietrza wyrwał z moich rąk kartkę z fotografią. Szukałem jej w zakamarkach piwnicy, ale nie mogłem znaleźć, a że było już późno, poszedłem w końcu spać.

W nocy obudziło mnie dziwne skrzywienie dochodzące z piwnicy. Troszkę się bałem, ale byłem ciekawy, co się tam dzieje, więc poszedłem sprawdzić. Kiedy wszedłem do piwnicy, zobaczyłem na środku świecącą księżycową poświatą kapsułę. Pod nią leżała moja fotografia! Wyglądało na to, że kapsuła prześwieśla zdjęcie. Nagle drzwi kapsuły się otworzyły i jakieś kable wciągnęły mnie do środka! Nie zdążyłem nawet krzyknąć i na chwilę straciłem przytomność. Kiedy się ocknałem, spostrzegłem, że znajduję się w łódce pływającej po wodzie. Była w niej także moja siostra Marysia, która zdziwiła się jednak, gdy jej powiedziałem, że jesteśmy rodzeństwem. W ogóle zachowywała się i ubrana była jakoś tak starodawnie. W takiej samej łódce obok nas siedział jakiś pan, a z drugiej strony płynęły dwie dziwne gondole. Zacząłem się rozglądać wokoło i spostrzegłem, że ta okolica jest mi bardzo dobrze znana. Tak, byłem w naszym bielawskim parku, na stawie! Moją uwagę zwróciły dziwne ubrania ludzi będących na brzegu. Wyglądali, jakby byli z innej epoki. W tym momencie zauważyłem, że jakaś osoba robi mnie i ludziom pływającym obok zdjęcie starodawnym aparatem. Kiedy przypłynęliśmy do brzegu, ku mojemu zdziwieniu zobaczyłem idące pobliską ulicą cztery cyrkowe słonie, widok w Bielawie niecodzienny. Za nimi biegła jakaś dziewczynka i głośno krzyczała, że te słonie

wracają z rynku, gdzie wypily z fontanny całą wodę. Pobiegłem w ich stronę, a gdy byłem już bardzo blisko, potknąłem się o wystający korzeń i się przewróciłem.

Kiedy chciałem wstać, zauważyłem znajome księżycowe światło i znaną mi już kapsułę, z której wysunęły się kable i ponownie wciągnęły mnie do środka. Nie wiem, kiedy obudziłem się w swoim łóżku. W ręku trzymałem kartkę ze starą fotografią od pani. Ze zdumienia przecierałem oczy, ale w małej łódeczce na tej fotografii byłem ja! Opowiedziałem wszystko rodzicom, ale mi nie uwierzyli, twierdząc, że ta osoba w łódeczce jest tylko do mnie podobna i nie może być mną, ponieważ żyła w przeszłości. Ja jednak znam prawdę i wiem, że spotkała mnie niesamowita przygoda.

Jestem pewien, że stare fotografie mają niezwykłą moc – naprawdę mogą przenieść nas w przeszłość.

Tajemnice bielawskiego parku

Parę lat temu wybrałem się do Bielawy po zakupy. Piszę „wybrałem się”, ale w rzeczywistości zostałem do tego zmuszony, jako że wręcz nie cierpię tego wybierania, przymierzania i zastanawiania się nad tym, co kupić. Trwa to w nieskończoność i wystawia moją cierpliwość na wielką próbę. Tym razem było inaczej. Zostawiłem swoje panie, czyli żonę i córkę, obok pomnika sowy na pl. Wolności, a sam, korzystając z pięknej pogody, postanowiłem pospacerować po parku. Trzaskając drzwiami samochodu usłyszałem jeszcze: „tylko za godzinę masz być z powrotem” i pojechałem. Tym „nakazem” Babci, czyli mojej żony, się nie przejąłem. Przewidywany czas jej pobytu w sklepie odzieżowym należało pomnożyć co najmniej przez dwa albo i przez trzy. Idąc zaniedbaną parkową ścieżką w stronę stawu, zwróciłem uwagę na starszą panią siedzącą na odrapanej parkowej ławce. Była ubrana w staromodną sukienkę z koronkami i sweterek zapinany na wielkie kościane guziki. Rozpaczliwie przywoływała do siebie wielkiego rudego kota, który ciągnąc za sobą cienką smycz, leniwie przechadzał się między drzewami, zupełnie nie reagując na nawoływania swej pani. Postanowiłem pomóc kobiecie, co udało się bez żadnego kłopotu. Kot po prostu nie uciekał przede mną. Ująłem smycz i przyprowadziłem uciekiniera właścicielce. Dopiero wówczas zauważyłem dwie inwalidzkie kule, które leżały obok ławki. To dlatego starsza pani nie była w stanie gonić swojego pupila po nierównej parkowej murawie. Podziękowaniom nie było końca. Z przysłoniętej staromodnym kapeluszem, pooranej szlachetnymi zmarszczkami twarzy płynął potok słów. Wysłuchiłem podziękowań, jakbym dokonał jakiegoś heroicznego czynu. Zaraz potem usłyszałem historię o tym, w jaki sposób ta kobieta weszła w posiadanie tego nadzwyczaj mądrego kota, jak długo już są razem, co on najlepiej lubi i jakie ma przyzwyczajenia. Stałem, grzecznie słuchając, i zastanawiałem się, jak bez urazy starszej pani zostawić ją wraz z kotem i iść da-

lej swoją drogą. Niestety, nic nie wymyśliłem, a pani chwyciła mnie nagle za rękę i delikatnie pociągnęła, zapraszając bym usiadł. Miała bardzo smukłą, delikatną i ciepłą dłoń, pokrytą na wierzchu niewielkimi plamkami wątrobowymi, jak to zwykle bywa u starszych ludzi, co jednak w żaden sposób jej nie szpeciło.

– Niech pan usiądzie chwilę przy mnie, bardzo proszę – uśmiechnęła się zalotnie i tak bardzo dziewczęco, że wbrew swojej woli skorzystałem z zaproszenia. – Ja nie mam już z kim rozmawiać, a pan jest taki miły, przyprowadził mi pan mojego Wacusia.

W ten sposób dowiedziałem się, jak kocisko miało na imię. Myślałem, że pani nadal będzie się o nim rozwodziła, ale nagle zmieniła temat rozmowy, a właściwie monologu.

– Póki jeszcze mogę chodzić a jest pogoda, to zawsze tutaj przychodzę. Siadam na tej ławce, z której jest widok na staw, zamykam oczy i przenoszę się do czasów mojej młodości. Mój Boże, jak tu kiedyś było pięknie! W niedziele zbierali się młodzi ludzie z całej Bielawy. Siedząca pod zadaszeniem orkiestra grała modne tanga i walczyki, deski skrzypiały i ugiwały się pod ciężarem tancerzy, a gruby karczmarz Braun nalewał piwo z ogromnej beczki, którą przywoził wozem zaprzężonym w swojego kulawego konia, który nie nadawał się już do ciężkiej pracy na roli, bo w czasie ostatniej wojny odłamek bomby urwał mu kawałek kopyta. Chłopcy pili piwo i porywali dziewczyny do tańca, a kiedy orkiestra przestawała grać, brali je do łódek i pływali po stawie, od jednego brzegu do drugiego.

Teraz opowiadanie nie było już tak płynne jak w przypadku kota. Czułem, że pani krąży swoimi myślami zupełnie gdzieś indziej.

– Coś mi się wydaje, że nie o tym chce mi pani mówić – zażartowałem i wstałem z ławki, by się pożegnać.

– Nie o tym – zaśmiała się pani i chwytając mnie ponownie za rękę, zdecydowanie pociągnęła z powrotem. Tym razem już nie cofnęła ręki. Położyła swoją dłoń na mojej, jakby brała mnie w posiadanie. Nie protestowałem, bo było to bardzo przyjemne.

– Chciałam opowiedzieć o swoim Wacusiu.

– O tym? – wskazałem na wylegującego się na skraju ławki kota.

– Nie o tym, o moim mężu! Od dłuższego już czasu zauważyłam, że podczas tych niedzielnych potańcówek przygląda mi się wysoki,

bardzo przystojny młodzieniec. Nigdy jednak do mnie nie podchodził i nie prosił do tańca. Bawił się z moimi koleżankami, ale zawsze tak je prowadził, aby być blisko mnie. Koleżanki też to zauważyły i śmiały się, że mam takiego nieśmiałego wielbiciela. Postanowiły coś z tym zrobić. Pewnego razu orkiestra zawołała: „Odbijany!”. Tańczące panny błyskawicznie zmieniały partnerów. Został tylko jeden, zaczerwieniony z emocji, i ja. Nie pozostało mu nic innego, jak wziąć mnie do tańca. Jego wielkie silne dłonie były mokre od potu. Mylił kroki, płały mu się nogi i co jakiś czas deptał mi po butach, by zaraz potem gorąco przeproszać. Jakoś dotrwaliliśmy do końca tańca i odprowadzał mnie na miejsce, trzymając pod rękę delikatnie, jakbym była ze szkła. Podobało mi się to. Poczułam się nagle bardzo ważna i posłałam mu uśmiech najpiękniejszy, na jaki mnie było stać. To go nieco ośmieliło.

– Skąd panienka jest? – zapytał, jeszcze bardziej się czerwieniąc. Oczywiście po niemiecku, jako że wówczas mieszkali tu Niemcy.

Od razu spostrzegłam, że nie jest on rodowitym Niemcem. Miał zupełnie inny akcent i mówił, z rozmysłem dobierając słowa. Nie wiem, co mnie skłoniło do tego, że odpowiedziałam mu po polsku:

– Z Polski, wieś Panasówka, powiat Skałat.

Staął, jak żona Lota zamieniona w słup soli i patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Boże drogi – wydusił wreszcie z siebie również po polsku. – A ja z Kołodziejówki.

Mieszkaliśmy w sąsiednich wioskach i się nie znaliśmy! Od tej chwili nie odstał mnie nawet na krok. Mieliśmy sobie tyle do opowiedzenia! Tańczyliśmy, a w przerwach szukaliśmy ustronnego miejsca, by rozmawiać. W końcu Wacusz miał dosyć muzyki, tańców i tłumu ludzi.

– Może byśmy popłynęli łódką? – zaproponował.

– Oczywiście – zgodziłam się.

Wynajął najpiękniejszą – była jeszcze wolna z tego względu, że najdroższa. Odpłynęliśmy nią w najdalszy koniec stawu. Zrobiło się ciemno. Wszedł księżyc i gwiazdy, które odbijały się w wodzie. Dochodziły do nas skoczne melodie wygrywane przez orkiestrę i pokrzykiwania rozochoconych tancerzy, ale niewiele nas to ob-

chodziło. Siedzieliśmy na wąskiej ławeczce łódki, trzymaliśmy się za ręce i nie mogliśmy nacieszyć się swoim widokiem. W tym momencie zrozumiałam, że ta chwila decyduje o całym moim życiu. Zakochałam się w Wacusiu i kocham go do dzisiaj, mimo że dawno już mnie opuścił i czeka gdzieś tam, gdzie i ja niedługo się znajdę.

Siedziałem przy starszej pani, słuchałem jej pięknego głosu i wzruszałem się wraz z nią.

– Jak wy oboje się tutaj znaleźliście? – spytałem wiedziony ciekawością.

– Przyjechaliśmy za pracę. Po domach chodzili agenci i namawiali na wyjazd. Pokrywali koszty, które później spłacaliśmy z naszych zarobków. Oboje chodziliśmy do austriackich szkół i znaliśmy język niemiecki, więc z pracą nie było wielkiego problemu. Oboje pracowaliśmy w fabryce Dieriga, ale na różnych wydziałach. Ja na przędzalni, a Wacuś w dziale mechanicznym – pani umilkła na chwilę, rozpamiętując czasy swojej młodości, po czym wróciła do poprzedniego tematu. – Czas na łódce upłynął nie wiadomo kiedy. Nawet nie zauważyliśmy, że orkiestra przestała grać, ludzie się rozeszli i pogaszono światła. Z tego zauroczenia sobą wyrwał nas donośny głos wzywający do powrotu. To właściciel łódki chciał już ją przycumować, schować wiosła i iść do domu. Śmiał się: „Pewnie siedzielibyście do rana, gdybym was nie zawołał!”. Pewnie byśmy siedzieli. Są chwile, kiedy czas ucieka niepostrzeżenie. Od tego dnia spotykałam się z Wacusiem codziennie, a po paru tygodniach przyszedł pewnej niedzieli z pierścionkiem i kwiatami. Oświadczył mi się w obecności koleżanek, z którymi mieszkalam. Narobiły wielkiego pisku, a ja byłam bardzo szczęśliwa. Przez parę miesięcy odkładaliśmy pieniądze, by nazbierać na podróż do Polski i na nasz ślub. Nie chcieliśmy go brać bez błogosławieństwa rodziców, na obcej ziemi. Wreszcie nadszedł czas wyjazdu. Z bijącym sercem wsiadałam do pociągu. Jakie będzie to nasze wspólne życie? Po ślubie i skromnym weselu, odprowadzani na stację kolejową przez obie nasze rodziny, wróciliśmy do Bielawy. Tutaj mieliśmy swoją pracę i tutaj zamierzaliśmy się dorabiać, zanim wrócimy do Polski. Wyszło inaczej. Wybuchła wojna i z ludzi wolnych staliśmy się nagle niewolnikami. Nie wróciliśmy już do Polski, ale Polska przyszła do nas.

Teraz ja zgubiłem poczucie czasu. Słuchając tego opowiadania, zapomniałem, że czekają na mnie żona i córka. A to dopiero będą się złościć! Wstałem, pochyliłem się nad panią i ucałowałem ją w policzek. Nagle zrobiła mi się ona bardzo bliska. Wyciągnęła ręce, objęła moją głowę i oddała pocałunek. Ruszyłem w kierunku samochodu. Po kilku krokach obejrzałem się, by jeszcze jej pokiwać, pewny, że za mną spogląda. Z wielkim zdziwieniem zobaczyłem, że ławka na której siedzieliśmy, jest pusta. Wróciłem na to miejsce. Nie było pani, nie było jej kota. Oboje zniknęli. Czyżby mi się to wszystko śniło? Ale co to? Przy ławce leżał wielki kościany guzik od jej swetra. To nie mógł być sen! Jechałem na pl. Wolności zupełnie oszołomiony tym, co mnie spotkało. Nikt tam na mnie nie czekał. Pewnie Babcia nie mogła się doczekać i wróciły do Pieszyc autobusem. A to będzie w domu krzyk! – pomyślałem. Na wszelki wypadek wszedłem jeszcze do sklepu. Właśnie przymierzały kolejne suknie.

Bielawski park

Dawno temu, kiedy w naszym bielawskim parku był basen, chodziło tam dużo osób. Dorośli spędzali czas na pogawędkach i pływali starodawnymi łódkami. Dzieci przebywały tam całymi dniami. Pewna grupa przyjaciół miała w jednej części tego parku swoje miejsce spotkań. Chodzili tam w każdej wolnej chwili. Przyjaciele lubili spędzać czas w tej okolicy.

Każdy dzień mijał tak samo, lecz pewnego razu umówili się, żeby przyjść wcześniej na swoje miejsce spotkań, ponieważ mieli bardzo ważne sprawy. Gdy przybyli tego ranka, spostrzegli, że park z basenem zniknął. Bardzo się tym przejęli i wpadli na pomysł, aby poszukać wskazówek, co się stało z ich miejscem spotkań. Nagle spostrzegli, że Oliwia zniknęła, a za niedługą chwilę usłyszeli, że skądś krzyczy, więc zaczęli jej szukać.

Gdy już znaleźli swoją przyjaciółkę, okazało się, że wpadła ona do jakiegoś tajemniczego korytarza. Artur, Oliwia, Kasia oraz Oskar bardzo lubili ryzykować, dlatego zeszli w głąb czarnych podziemi. Gdy doszli do końca korytarza, znaleźli bardzo małe drzwi. Przez dłuższą chwilę zastanawiali się, czy je otworzyć. W końcu Oskar nacisnął klamkę, a za drzwiami ukazał się park, który był bardzo, ale to bardzo podobny do tego, w którym przyjaciele spędzali każdą wolną chwilę.

Zauważyli, że w miejscu, w którym zawsze przebywali, siedziała jakaś inna grupa. Kasia wraz z Oskarem podeszli do tych ludzi i spytali, dlaczego siedzą w ich miejscu, lecz oni powiedzieli, że przychodzą tu codziennie i ani razu ich nie widzieli. Kiedy Kasia i Oskar rozmawiali z nieznanymi, Artur z Oliwią rozglądali się po parku i nie mogli znaleźć basenu. Zamiast niego był mały staw, po którym dorośli oraz dzieci pływali rowerkami wodnymi, a także kajakami. Oliwia doszła do wniosku, że przenieśli się do przyszłości.

Kiedy przyjaciele spacerowali po parku, jakaś starsza pani poznała

ich i podeszła do nich. Kobieta wiedziała, skąd przybywają, dlatego powiedziała, że pomoże im wrócić do domu, ponieważ była świadoma, jakie będą konsekwencje, jeżeli zostaną. Dała im wskazówki, dzięki którym mogli wrócić do domu. Były one bardzo proste: musieli znaleźć drzwi, którymi się tu dostali. Szukali ich niecałe dwie godziny. Wszedłszy do korytarza, który był bardzo ciemny, przypomnieli sobie o tym, że zanim trafili do przyszłości, ich park zniknął. Oskar powtórzył swoim przyjaciołom słowa starszej kobiety. Powiedziała ona, że kiedy będą już w podziemiach, to muszą myśleć o parku: żeby znowu był w ich miejscowości, na tym samym miejscu.

Zrobili tak, jak powiedziała pani, którą spotkali w parku. Kiedy wyszli z korytarza przez tę samą dziurę, do której wcześniej weszli, ujrzeli miejsce, w którym codziennie spędzali czas.

Historia sprzed lat

Pewnego zimowego wieczoru, gdy jak zwykle siedziałam u babci, popijając gorącą herbatę z miodem i cytryną, coś mnie tknęło. Nie chciałam dzisiaj, jak każdego dnia ferii, siedzieć przed telewizorem i nie robić nic ciekawego. Poczułam dziwny impuls, aby pójść na strych. Moja babcia mieszka w starym poniemieckim domu, miałam więc nadzieję, że znajdę tam coś ciekawego. Kto wie, co można znaleźć na takim strychu? Gdy byłam młodsza, bałam się tam wchodzić, nawet trzymając kurczowo za rękę tatę. Wzięłam od babci pęk kluczy i zaczęłam wspinać się po starych, spróchniałych schodach. Drzwi otworzyły się z cichym jękiem.

Gdy przekroczyłam próg strychu, od razu zewsząd otoczyły mnie tumany kurzu i pajęczyn. „Babcia nie była tu i nie sprzątała chyba od wieków” – pomyślałam. Przez okienko w dachu sączył się słaby snop światła. Rozejrzałam się z ciekawością po wnętrzu.

Na początek skierowałam swoje kroki w stronę półek znajdujących się na prawo ode mnie. Stały tam różne puzderka, duże lustro i mnóstwo porcelanowych figurek. Najpiękniejsza z nich przedstawiała pannę młodą. Jej postać, ubrana w cudowną białą tiulową suknię, stała dumnie wyprostowana, a włosy spływały jej po ramionach kaskadą kasztanowych loków. Jej twarz wyrażała strach i niepokój przed zbliżającym się zamążpójściem. Odstawiłam figurkę ostrożnie na miejsce.

Zauważyłam, że na najwyższej półce coś leży. Okazało się, że jest to stary klucz. Ujęłam go delikatnie w dłonie i rozejrzałam się, do czego mógłby pasować. Moją uwagę przykuł kufer stojący w najciemniejszym kącie strychu. Podeszłam do niego i przykłękałam. Włożyłam klucz do zamka i przekręciłam dwa razy. Jeszcze chwilę mocowałam się z blokadą, po czym usłyszałam ciche kliknięcie i pokrywa delikatnie się uchyliła. Moim oczom ukazała się sverta

przykurzonego białego materiału. Delikatnie ujęłam go w dłoń i wyciągnęłam z kufra. Okazało się, że jest to piękna, stara suknia ślubna. Na dnie skrzyni znajdował się jeszcze wianek z welonem, pozłacana pozytywka i zniszczony kajet w skórzanej oprawie.

Wyjęłam zeszyt z kufra i dokładnie go obejrzałam. Ostrożnie otworzyłam go na przypadkowej stronie, a wówczas spomiędzy pożółkłych kartek zapisanych kształtnym pismem w języku niemieckim sfrunęła na deski strychu czarno-biała fotografia. Przedstawiała uśmiechniętych ludzi, spacerujących po parku i pływających po stawie gondolami przyozdobionymi girlandami kwiatów. Spojrzałam na strony, z których wypadło zdjęcie. Wyglądało na to, że był to pamiętnik prowadzony przez dziewczynę, a że dobrze znam język niemiecki, rozpoczęłam lekturę...

13 kwietnia 1931

Dzisiaj pierwszy raz spotkałam swojego narzeczonego. Nic specjalnego... Gdy już wyszykowali mnie jak lalkę, a głowę przyozdobili ogromną kokardą, zawołano mnie na dół. W salonie zebrali się już wszyscy: moi rodzice i dziadkowie, a także jego rodzice. No i oczywiście mój narzeczony, Hans. Jest starszy ode mnie o piętnaście lat! (Ja mam osiemnaście.) Włosy na głowie zaczynają mu się już przeczesać, nosi brzydkie okulary i źle skrojoną marynarkę. Nasi rodzice chcą nas ze sobą zeswatać, gdyż jak powiedział mój papa: „To świetna okazja, aby połączyć nasze ziemie”. Nie umiem wyobrazić sobie życia u boku Hansa. Nic do niego nie czuję i jest dla mnie odrażający.

15 maja 1931

Dzisiaj miałam przymiarzkę mojej sukni ślubnej. Jest prześliczna, dopasowana w talii i rozszerzana ku dołowi. Wszystko byłoby, dobrze gdyby nie ten narzeczony. Moja matka co rusz sprowadza coraz to nowych kucharzy, już umówiła nas z księdzem, a swój ko-

stium ma dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. Czasami mam wrażenie, że mój ślub absorbuje ją bardziej niż mnie samą...

5 czerwca 1931

Ślub już jutro. Suknia wisi na drzwiach szafy, na wieszaku, aby się nie pogniotła. Obok stoją białe pantofelki. Pisząc ten fragment, siedzę przy moim mahoniowym biurku i tylko blask świecy oświetla mi papier. Mama kazała mi iść wcześniej spać, żebym jutro nie miała podkrążonych oczu. Swoją drogą, zabawnie by to wyglądało, gdybym przyszła na swój ślub rozczochrana, z sińcami pod oczami i ziewając, wypowiadała słowa przysięgi. Chciałabym zobaczyć wtedy minę Hansa. Już widzę to jego pełne dezaprobaty spojrzenie i słyszę ten piskliwy głos: „Berto, jak ty wyglądasz? Jak mogłaś przynieść taki wstyd swojej rodzinie! To niewybaczalne!”.

7 czerwca 1931

Wczoraj odbył się mój ślub. Dziwne. Zawsze myślałam, że ten dzień będzie najszczęśliwszym dniem w moim życiu. Niestety, myliłam się. Ten dzień był najgorszym koszmarem.

Wszyscy dobrze się bawili, zewsząd dobiegały salwy śmiechu. Tylko ja się nie śmiałam. No i może jeszcze Hans, ale to nic nowego. On nigdy się nie uśmiecha. Chyba nie wie, co to radość życia. Przecież ma aż trzydzieści trzy lata.

Przyjęcie ślubne odbyło się w Parku Miejskim. Goście siedzieli w kawiarence nad stawem przy suto zastawionych stołach. Do tańca grał zespół muzyków ubranych w eleganckie fraki. Jednak największą atrakcją dla gości było pływanie gondolami po stawie. Wynajęty fotograf co chwilę robił zdjęcia. Starałam się unikać obiektywu. Teraz już zachodzi słońce, większość gości wyjechała. Na szczęście Hans i ja śpimy na razie w osobnych pokojach...

Gdy skończyłam to czytać, na dworze było już prawie ciemno. Zasmuciła mnie ta historia. Zabrałam pamiętnik ze sobą do pokoju. Następne wpisy świadczyły o tym, że nie było to udane małżeństwo. Hans okazał się surowym i apodyktycznym człowiekiem. Los Berty odmienił się trochę po narodzinach córeczki Soni, która przyszła na świat pod koniec sierpnia 1939 roku. To właśnie na nią Berta przełaziła całą nagromadzoną w sercu miłość. Tu pamiętnik się urywa, a historia Berty się kończy. Kilka dni później wybuchła wojna...

Bardzo współczuję tej dziewczynie. Była młoda, pełna nadziei i planów na przyszłość. Ciekawa jestem, czy babcia kiedykolwiek widziała ten pamiętnik. Muszę ją o to zapytać. Może będzie знаła dalsze losy Berty i jej córeczki...

Historia

Nie mógł już tego dłużej wytrzymać. Bezsensowność, samotność, smutek... starość. Po prostu nie mógł uwierzyć, że minęło tyle lat w białych ścianach. Podszedł do lustra i dokładnie zaczął przyglądać się swojej twarzy. Widniały na niej miliony zmarszczek. Szare, wyblakłe, przygaszone oczy... I włosy... tak... siwe, lichutko trzymające się na starej głowie. Wyszedł z łazienki i ukradkiem spojrzął na zegarek: 2.30. Skierował się ku drzwiom wyjściowym. Pół sekundy później znalazł się na korytarzu. Było na nim tak jasno, że z początku nic nie widział. Podążał dalej w głąb korytarza. Mijał krzesła, tablice informacyjne oraz napis „Złota Jesień - dom spokojnej starości”.

– Aż za spokojnie... – mruknął. Zszedł po schodach i od razu pchnął drzwi. Znalazł się w pokoiku, w którym siedziały pielęgniarki.

– Coś się stało, panie Miler?

– Nic, wszystko w porządku, tylko...

– ...tylko znów nie mógł pan spać?

– Tak.

– Proszę, jeśli pan chce, może pan usiąść z nami – powiedziała młoda kobieta, siedząca przy oknie.

– Mhm... i znowu zaczną się ciekawe anegdoty z życia Milera – do-dała siedząca obok.

– Panno Echols, jeszcze nie jestem taki stary i niedołężny, by nie odróżnić szczerzej wypowiedzi od sarkazmu.

Jednak pielęgniarka tylko wywróciła oczyma i zajęła się oglądaniem telewizji. Miler usiadł na kanapie. Rozejrzał się po pokoju i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Telewizor nie był nastawiony, jak zwykle, na telenowele, tylko na bajki dla dzieci. Obrócił głowę w prawo i ujrzał małą dziewczynkę siedzącą w fotelu. Ona chyba jednak wyczuła jego spojrzenie na sobie, bo momentalnie odwróciła głowę w jego stronę.

- Dziadek! – krzyknęła i od razu rzuciła mu się na szyję.
- Elizo, to nie jest twój dziadek, tylko pan Miler, i masz się tak do niego zwracać.
- Ale, mamoo...
- Koniec dyskusji.
- Dziewczynka momentalnie odsunęła się od staruszka.
- Przepraszam – mruknęła.
- Nic się nie stało. Jestem Miler, mieszkam w „Złotej Jesieni” i mam 86 lat, a ty panienko?
- Eliza, 7 lat i chodzę do podstawówki – dziewczynka uśmiechnęła się tak szeroko, że widać jej było rosnące stałe zęby i liche mleczaki.
- Masz ładny uśmiech.
- Dzięki. Tego tu o... – włożyła palca do buzi i pokazała na jedynekę
- ...wyrwałam sama, a ten... – przesunęła palec w prawo na dziurę – wybiłam w szkole na wuefie, gdy graliśmy w piłkę.
- No, no, ładne macie atrakcje w tej szkole!
- Wiem i pani opowiada nam bajki – dziewczynka zmarszczyła brwi, a potem delikatnie się uśmiechnęła. – A czy ty opowiesz mi bajkę?
- Ja... no mógłbym spróbować, ale o czym miałyby być ta bajka?
- O książniczkach, książętach, zamkach...
- No dobrze... Więc dawno, dawno temu, a może wcale nie tak dawno... Dzień był wręcz cudowny. Złociste promienie pełne magicznego pyłu próbowały przecisnąć się przez gęstą koronę drzew. Ukryte w zielonych jak grochy liściach śpiewały ptaki, a dwójka młodych ludzi spacerowała po alejkach wysypanych drobnymi kamyczkami. Chłopak obrócił głowę w stronę partnerki.
- Przejdziemy się do kawiarni? – mruknęła.
- Z wielką chęcią.
- Lokal był małym pomieszczeniem mieszczącym kilkanaście stolików i krzeseł.
- Coś podać? – spytał wysoki mężczyzna.
- Poprosimy o kawę – natychmiast odparła.
- Kelner odszedł i zostali sami.
- Wiesz, nie mam ochoty tu czekać. Może chcesz popływać?
- Tymoteusz!

– Och, no dobrze... Czy ma może panienka ochotę przejść się ze mną nad pomost i popływać trochę po jeziorze?

– Z wielką przyjemnością – na jej twarzy natychmiast pojawił się uśmiech.

Złapał jej dłoń i pociągnął w stronę pomostu.

Trochę ciężko mu było wiosłować samemu, ale jego dama nie mogła się przecież zmęczyć. Gdy znaleźli się na środku jeziora, przyglądał się jej ze zdwojoną siłą. Brązowe włosy lekko opadały na ramiona. Żółta sukienka przepięknie komponowała się z jej bladą cerą, sprawiając wrażenie, że jej niebieskie oczy i czerwone usta stały się bardziej intensywne.

– Tymoteusz, o czym myślisz?

Speszony odwrócił głowę w stronę lądu. Z tej perspektywy wszystko wyglądało inaczej. Park, wcześniej tak ogromny, teraz przypominał tylko niewielki skwer. Drewniana kawiarnia była teraz tak zaludniona... może gdyby podpłynął bliżej, rozpoznałby kilka osób. Wreszcie jego wzrok utkwiał w ciemnoniebieskiej wodzie, mieniącej się blaskiem tysiąca diamentów na falach pokrytych milionem zmarszczek.

– W sumie o niczym.

– Jak to o niczym? Każdy przecież o czymś myśli.

– Tak, tylko że to, co bym teraz powiedział, nie byłoby stosowne do sytuacji.

– Oj, powiedz!

– Zestarzej się ze mną. Pozwól mi dzielić z tobą to, co widzę, bo to najlepsze jest właśnie teraz. Nasze dłonie mogą się zestarzeć i my się zmienimy, ale dalej pozostaniemy tym, czym jesteśmy. – Delikatnie otworzył szkatułkę, w której znajdował się pierścionek z rubinem. – Klaro, wyjdiesz za mnie?

– Tak...

– Koniec, podobala ci się bajka?

– Wie pan, nie jest pan najlepszy w opowiadaniu bajek, ale zawsze to coś – na jej buzi pojawił się uroczy uśmiech. – Proszę się oczywiście nie obrazić.

– Spokojnie, nie miałem zamiaru.

- A co się stało z tymi ludźmi?
- Tworzyli wspaniałą parę, ale kilka lat po ślubie... – jego twarz nagle spochmurniała. – Klara umarła, a Tymoteusz... Tymoteusz żył dalej.
- Ta historia jest prawdziwa, prawda, panie Tymoteuszu Milerze?
- Tak, moje dziecko...

Bielawianka i wampir — spotkanie na stawie

Była piękna gwiazdzista noc. Blask księżycy przedostawał się przez okno, oświetlając izbę, w której spałam. Leżałam na swoim posłaniu, bawiąc się falbanami nocnej koszuli i z uwagą nasłuchiwałam dźwięków dochodzących z reszty domu. Po kilku minutach usłyszałam to, czego oczekiwałam – charakterystyczne skrzypienie wrót stodoły. Był to znak, że matula jest już w objęciach Morfeusza, a służba udała się do stodoły na hulanki. Dobra córka obudziłaby rodzicielkę i doniosła na niesfornych pracowników, ale dla mnie to była idealna sposobność, z której nie omieszkalam korzystać niemal każdej nocy.

Z gracją zsunęłam nogi z łoża i stopami próbowałam odnaleźć położenie swoich pantofli. Wsunęłam je na nogi i sięgnęłam po podomkę, która leżała na foteliku obok. Zgasiałam lampę naftową i podeszłam do okna, starając się, najciszej jak tylko się da je otworzyć. Wyjrzałam raz czy dwa, rozglądając się dokładnie. Nikogo nie ujrzałam i nie słyszałam, nie licząc oczywiście służby, która bawiła się w najlepsze. „Najgorsze przede mną” – pomyślałam. Musiałam wymknąć się oknem niepostrzeżenie, co wcale nie było łatwe, biorąc pod uwagę mój ubiór. Długa i falbaniasta koszula nocna nie jest najlepszym strojem na nocne „spacery”. Za każdym razem, próbując wyjść oknem, w myślach widziałam siebie podczas mojego pierwszego wymykania się, kiedy jedna z falban zaczepiła się o gwóźdź wystający z ramy okna, a ja upadłam, odsłaniając przypadkowo wszystko to, co ta długa koszula miała zakryć. Szczęście, że było to nocą i nikt mnie nie przyuważył. Jakież to byłoby niefortunne, gdyby ktoś, nie daj Bóg sługa, ujrzał moje pantaloney! Wstyd na całą wioskę!

Kiedy w końcu udało mi się przedostać w tej koszuli przez okno, czekała mnie ostatnia przeszkoda: przejście niepostrzeżenie obok okna matuli. W duchu liczyłam na to, że śpi twardo jak zawsze, w przeciwnym razie do końca swojego życia siedziałabym w izbie,

a wyjść bym z niej mogła tylko po to, aby jaja z kurnika przynieść. Matula zawsze trzęsła się nad moim losem, ponieważ od lat w naszej wiosce grasowały wampiry. Gdyby mnie teraz ujrzała na środku podwórza, w mej jedwabnej podomce, wymykającą się nocą do jednego z tych „krwiożerczych demonów”, jak zwykła mawiać, pewnie wymierzyłaby mi niejeden policzek albo pas. Na szczęście spała jak kamień. W tym momencie radowałam się, że nie było ojca, bo ten z kolei obudziłby się przy najmniejszym szmerze. Papa bardzo rzadko sypiał w domu, bo wraz z innymi mężczyznami z wioski polował na TAMTYCH.

Kiedy wyszłam poza domowe obejście, z serca spadł mi ogromny ciężar i w końcu mogłam odetchnąć z ulgą. To nie pierwszy raz, kiedy się wymykam, jednak stres jest taki sam, jak na początku. „Teraz już pójdzie z górki” – ucieszyłam się w duchu. Szłam wzdłuż dróżki obok parku, aż doszłam nad staw gondolowy. Przy nim był cel mojej wyprawy, niewielka altana, w której miałam nadzieję go spotkać. Weszłam do niej i rozejrzałam się wkoło – ni żywej duszy. Słychać było tylko świerszcze i kwakanie niezadowolonych kaczek, które od czasu do czasu przebudzały się z nieznanych mi przyczyn. Nagle usłyszałam za sobą skrzypienie starego drewna i kroki. Natychmiast się odwróciłam. Me oczy ujrzały wysokiego, dobrze zbudowanego, młodego mężczyznę o długich kruczoczarnych włosach i rubinowych oczach.

– Kastielu! – zawołałam, wpadając w jego ramiona.

Nie powiedział nic, jedynie mnie objął i ucałował w czoło.

Za każdym razem nasze spotkania wyglądały podobnie. Leżeliśmy na trawie lub w gondoli i spoglądaliśmy w gwiazdy. Czasami wymienialiśmy jeden pocałunek, może dwa, ale nie było to konieczne. Samo chwycenie mej ręki przez niego sprawiało, że zapominałam o całym świecie. Nie liczyło się nic, tylko ja, on i gwiazdy, które sprawiały wrażenie, jakby świeciły tylko dla nas. To tutaj, w tej altanie wszystko się zaczęło...

Pewnego wieczoru z naszej gospody uciekła nasza suka, Sara. Pomimo zakazu matuli postanowiłam pójść jej poszukać. Od razu przyszło mi na myśl, że może być tutaj, ponieważ za dnia często spacerowałam z nią po parku. Idąc drogą, usłyszałam głośne, pełne bólu

skomlenie, więc pędem ruszyłam w kierunku jego źródła. Na miejscu zastałam skulonego, płaczącego chłopaka, a u jego stóp leżała Sara. Była martwa. Szyję miała poszarpaną jakby przez dzikiego zwierza. Podeszłam bliżej i wtedy głowa chłopaka podniosła się i wszystko we mnie zadrżało. Oczy jego mieniły się ognisćie, a z ust sączyła się krew. Ale nie należała ona do niego. Chciałam uciekać, jednak zauważyłam coś, czego z początku nie spostrzegłam. Poza żarem z jego oczu biła rozpacz i żal. Nagle, nie wiedzieć czemu, moje przerażenie zamieniło się we współczucie i nawet nie wiem, kiedy uklęknęłam przy chłopaku, objęłam go ramionami i przytuliłam do swej piersi. Było to równie naturalne jak oddychanie. Od tamtej pory wymykałam się nocą, najczęściej jak to tylko było możliwe. Chęć spotkania go była silniejsza od głodu czy pragnienia. To on był mi wodą i chlebem. Tak narodziło się zakazane uczucie, które nigdy nie powinno mieć miejsca, bowiem Kastiel jest krwio pijcą, który przybył do Bielawy wraz z innymi wampirami. Jednak mało było takich jak on, dla większości zwierzyna nie była zadowalającym łupem. Gdyby papa o nim wiedział, zgładziłby go bez wahania, albowiem należał do łowców.

Spoglądałam właśnie na Mały Wóz, kiedy przypominałam sobie pytanie, które już od dłuższego czasu cisnęło mi się na usta, ale nie wiedziałam, czy wypada mi je zadać. Nękało mnie ono jednak już tak długo, że postanowiłam zaryzykować.

- Czy jest szansa, abym stała się taka jak ty?
- To niemożliwe... Twoje serce jest tak piękne i dobre! Dlaczego chcesz je skazić i stać się potworem? – zapytał.
- Ponieważ chcę zostać z tobą na zawsze! Proszę, powiedz mi!
- Mówiłem, że to niemożliwe! To kara zesłana na mnie przez Boga
- odparł gniewnie.
- Jak to... przez Boga? Nie rozumiem...
- W poprzednim życiu byłem złodziejaszkiem. Podróżowałem ze zgrają łotrów od wioski do wioski i okradałem ludzi z ich majątku. Bywało nawet, że wzniecaliśmy ogień i wiele domostw spłonęło doszczętnie. Nie mieliśmy w tym żadnego celu, robiliśmy to dla swojej uciechy, a ludzie zostawali bez dachu nad głową i pewnie wielu z nich skończyło z głodu, bo przecież zabieraliśmy ich majątek, niszczyliśmy uprawy. Pewnego razu upijałem się w tawernie u granic Bielawy, gdy

nagle wszedł do niej pewien młodzik. W oczach jego dostrzegłem pustkę, poruszał się, jakby jego dusza umarła, ale ciało ostatkiem sił stawiało kolejne kroki. Podeszedł do mnie i powiedział, że w pożarze, który ongiś wywołałem, zginęła mu matka. Po czym wyjął kozik i nawet nie wiem kiedy, począł dźgać mnie nim w klatkę piersiową, dopóty ktoś go nie odciągnął. Upadłem na podłogę i czułem, że powoli ulatuje ze mnie życie. Zapadłem w jakby sen, a koszmar, jaki mu towarzyszył, był najokropniejszym z koszmarów. Ukazało mi się wszelkie cierpienie, które spowodowałem. Widziałem twarze wszystkich tych, którzy przeze mnie rozpaczali. Wtedy nagle się obudziłem. Leżałem przemoczony na brzegu stawu. Zapewne moi „drodzy” towarzysze wrzucili do niego moje ciało, ale nie wiem, jakim cudem znalazło się ono na brzegu. Byłem zdumiony, bo czułem się, jakbym dopiero się narodził. I jakby nad tym dłużej rozmyślać, nie myliłem się. Wstałem, aby się rozejrzeć i określić moje obecne położenie, kiedy ujrzałem psa. Nagle poczułem wszechogarniający mnie głód, zapach krwi drażnił moje nozdrza i dokładnie dało się słyszeć tętno zwierzęcia. Ogarnął mnie obłęd, z którym nie potrafiłem sobie poradzić. Rzuciłem się na to biedne stworzenie i wgryzłem w jego tętnicę. Nie chciałem tego, ale też niemożliwe było, abym się powstrzymał. Z każdą kroplą krwi coraz bardziej odczuwałem ból zwierzęcia. Kiedy mój głód został zaspokojony, usiadłem obok i dezorientowany i przerażony zacząłem rozpaczać. Zrozumiałem, że to kara boska za moje podłe życie. Siedziałem tak jeszcze przez chwilę, kiedy poczułem czyjąś obecność. Uniosłem głowę i ujrzałem ubraną w białą jedwabną podomkę piękną dziewczuszkę o długich złocistych lokach, która była równie, a może nawet bardziej przerażona niż ja. Uczyniła ona jednak coś, czego się nie spodziewałem. Zamiast uciec, pochyliła się nade mną i przytuliła do piersi...

Ten mały gest, który mi wtedy okazałaś, sprawił, że postanowiłem zmienić moje serce, abym kiedyś był godzien ci je ofiarować – ścisnął moją rękę mocniej.

– Czyli wszystkie inne wampiry to...

– Tak. Grzesznicy, którzy dokonywali nawet gorszych postępków niż ja. Teraz już rozumiesz, dlaczego nie możesz zostać jedną z nas. Jesteś niczym baranek, którego nic nie jest w stanie zhańbić, nie jest

ci dany taki los. Nie pozwolę na to! – objął mnie czule, a ja już o nic nie pytałam. Chciałam zatrzymać czas i trwać w jego ramionach.

Godziny zleciały nieubłagane, niebo zaczęło mienić się na różowo. Rozstania z Kastielem to najtrudniejsze momenty, z jakimi przyszło mi się mierzyć w życiu, jednak to nieodzowny element naszej zakazanej miłości. Jedyne co mnie pociesza, to myśl, że może kolejnej nocy będzie mi dane go ujrzeć i znów móc leżeć w tej gondoli i czuć ciepło jego dłoni.

Zapomnienie

Było już późne popołudnie, kiedy stare małżeństwo wyszło z domu na dłuższy spacer po miejskim parku. Starszy pan ubrany w szarą tweedową marynarkę, w brązowym berecie na głowie podpierał się jedną ręką na drewnianej lasce, a w drugiej trzymał pomarszczoną, ale delikatną dłoń pani. Mogłoby się wydawać, że ten skromny, ale czuły gest musi być przepełniony miłością albo chociaż sympatią, jednak staruszek trzymał drobną rączkę babuni z obojętnością i z przyzwyczajenia. Bo trzeba podkreślić, że był przyzwyczajony. Codziennie o tej samej porze wychodzili do tego samego miejsca i babcia opowiadała tę samą historię. A dziadek zawsze zapominał.

Zielone liście drzew szumiały wokół nich jak morze oddalone o kilkaset kilometrów stąd. Zamiast morza był staw, po którym pływały kaczki dokarmiane przez dzieci hałasujące dookoła. Parkowymi uliczkami spacerowali ludzie: młodzi i starzy, smutni i radosni, pełni energii i zmęczeni życiem. Park był uniwersalnym miejscem, do którego mógł przyjść każdy.

– „Gdyby tak na to spojrzeć, to zbyt wiele się nie zmieniło od tamtych pamiętnych lat” – pomyślała babcia, a kąciki jej ust uniosły się odrobinę. Te same wąskie uliczki, znajomy zapach kwiatów i szum drzew. Brakuje tylko starej, dobrej kawiarenki „Parkgaststätte”, przy której można było odpocząć i spotkać się z przyjaciółmi.

Para usiadła na jednej z wolnych ławek najbliżej dużego stawu. Wodniste oczy babci od razu skierowały się w stronę małej wysepki porośniętej drzewami i krzewami znajdującej się pośrodku stawu. Dobrze pamiętała, że jako młoda dziewczyna pewnej mroźnej zimy schowała się na niej z chłopakiem, który później stał się jej mężem i ojcem jej dzieci, a który teraz siedzi obok niej, patrząc przed siebie zamglonym wzrokiem. Kobieta poczuła lekkie ukłucie bólu w sercu. Przecież on nic nie pamięta...

– Skądś znam to miejsce – oznajmił nagle starzec.

Starsza pani westchnęła. Oczywiście, że musi je kojarzyć, w końcu przychodzą tutaj codziennie!

– Och, naprawdę? Z tym parkiem wiąże się całkiem ciekawa historia – odparła babcia ze sztucznym uśmiechem na twarzy. Dziadek przyglądał się jej podejrzliwie. – Mogę Ci opowiedzieć, jeśli chcesz.

Starszy pan wpatrywał się w kobietę z taką intensywnością, jakby chciał przeświecić jej duszę. Ciekawość jednak wygrała i po chwili wahania skinął ledwo zauważalnie głową. Od młodzińskich lat był ciekawski. Później cała zebrana przez lata mądrość i doświadczenie ulotniły się z jego głowy, tak samo jak pamięć i wspomnienia z całego życia dziadka.

– A więc, dobrze – zaczęła babcia, marszcząc brwi i układając w głowie swoją opowieść. Za każdym razem, gdy opowiadała tę historię, starała się przedstawić ją inaczej, by nie zanudzić siebie ani dziadka. – Musimy się cofnąć do lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Młoda studentka filologii przyjechała do Bielawy w odwiedziny do swojej babci, która była już zbyt schorowana, by mogła mieszkać sama. Dziewczyna postanowiła zaopiekować się babcią przez wakacje, bo i tak nie miała nic innego do roboty. Przez kilka pierwszych dni zwiedzała miasto i poznawała je na nowo. Gdy spacerowała miejskimi uliczkami, próbując się zrelaksować i odpocząć od pracy w domu babci, jej uwagę przykuła prowadząca do parku ścieżka. Uśmiechnęła się szeroko na jej widok i prawie biegiem nią podążyła. Park był jej ulubionym miejscem i spędziła w nim większość swojego dzieciństwa. Odkąd pamiętała, bawiła się tu z kuzynami, z tatą i dziadkiem pływała gondolą po niedużym stawie i odpoczywała w kawiarence „Parkgaststätte” ze swoją mamą i babcią.

Szybko znalazła się przy stawie i z uśmiechem przyglądała się ludziom w gondolach, którzy odbijali się w tafli wody. Widziała szczęście na ich twarzach i była zdziwiona, widząc, że zwykła przejażdżka łódką sprawia im tyle radości. Sama zapragnęła zaznać tej beztroski. Gdy ostatni raz płynęła gondolą, miała jakieś pięć lat i słabo pamiętała towarzyszące temu uczucia.

Postanowiła usiąść przy dobrze jej znanej kawiarence „Parkgaststätte” i zastanowić się nad tym, jakie zmiany zaszły w parku, odkąd

była tu ostatnio. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w śpiew ptaków, rozmowy przechodzących koło niej ludzi i śmiech dzieci, które uciekały od swoich rodziców.

– Pięknie tu, prawda? – nagle do jej uszu dotarł obcy głos.

Szybko odwróciła się w jego stronę i zobaczyła czarnowłosego młodego chłopaka o niebieskich oczach, który wpatrywał się w nią z uśmiechem. Dziewczyna zazwyczaj nie ufała nieznajomym, więc i w tym przypadku nie zamierzała robić wyjątku. Bez słowa wstała z ławki i ruszyła do domu.

– Zaczekaj! – krzyknął za nią chłopak.

Dziewczyna, o dziwo, się zatrzymała, ale wszystkie mięśnie miała napięte.

– Chciałem ci zaproponować wspólną przejażdżkę gondolą, nie chciałem cię wystraszyć. Tak w ogóle jestem Franek – oznajmił i wyciągnął rękę na przywitanie. Dziewczyna po chwili wahania ją uściśnęła.

– A ty? Jak ci na imię?

– Anna – odpowiedziała cicho, spuszczać głowę w dół.

– Ładnie. To co, chciałyś przepłynąć się ze mną gondolą? Obiecuję, że nie wrzucę cię do wody – powiedział i uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

Dziewczyna przygryzła wargę. Czy mogła zaufać nieznajomemu chłopakowi, którego dopiero przed chwilą poznała w parku? Z pewnością nie, ale gdy przypomniła sobie szczęście tych ludzi płynących gondolami, ten uśmiech na ich twarzach zarezerwowany tylko na wyjątkowe okazje, zgodziła się. Była to spontaniczna decyzja, której miała nadzieję nie żałować. Uśmiech chłopaka poszerzył się bardzo.

Po chwili płynęli już gondolą po stawie. Tafla wody marszczyła się od delikatnego wiatru. Chłopak, jako džentelmen, sam wiosłował, pozwalając dziewczynie nacieszyć się pięknymi widokami parku. Czuła się doskonale, a z jej twarzy nie schodził uśmiech. Teraz rozumiała, co czuli ci wszyscy ludzie, którzy przed nią płynęli drewnianymi łódkami. Była wolna! Przez krótką chwilę zapomniła o pracy w domu babci, zapomniła o tym, że siedzi w tej łódce z całkiem obcym chłopakiem, zapomniła o wszystkim! Uległa magii parku. Z tej perspektywy świat wyglądał zupełnie inaczej: ludzie wydawali

się być za mgłą, oddaleni od nich o kilka kilometrów, a drzewa zawsze ogromne i potężne, teraz wyglądały jak chude i łamliwe patyki. Dziewczyna była zauroczona tym widokiem i mogłaby zostać w tej łódce na zawsze. Z uśmiechem wystawiła swoją bladą twarz w stronę słońca.

Gdy stali już na brzegu, wymienili między sobą delikatne uśmiechy, a potem bez słowa pożegnania każde ruszyło w swoją stronę.

Przez kilka następnych dni dziewczyna rozmyślała o tajemniczym chłopaku, którego знаła jedynie z imienia. Przypomniała sobie ze zdziwieniem, że nie zdążyła mu podziękować za tę niezwykłą przygodę, którą z nim przeżyła. Postanowiła odwiedzić park przy najbliższej okazji i poszukać zagadkowego chłopaka.

Znalazła go siedzącego w cieniu wielkiego drzewa. Chłopak, widząc zbliżającą się dziewczynę, uśmiechnął się szeroko na jej widok.

– Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę – zawołał, a w jego oczach zapaliły się wesołe iskierki.

Anna odwzajemniła uśmiech i usiadła obok chłopaka.

– Nie zdążyłam ci podziękować za przejażdżkę gondolą – powiedziała.

– Nie musisz dziękować. Dla mnie to była sama przyjemność – oznajmił. – Chciałem cię znaleźć i zaproponować powtórzenie tej przejażdżki. To jak będzie? Dasz się oczarować magii parku?

Dziewczyna bez wahania skinęła głową. Nie wiedziała, że to początek ich wspólnego życia.

Babcia skończyła swoją opowieść ze łzami w oczach. To była ich wspólna historia, o której nigdy nie pozwoli dziadkowi zapomnieć, nawet gdyby miała ją opowiadać jeszcze dziesięć tysięcy razy. Starając się powstrzymywać łzy, spojrzała na dziadka. Staruszek wpatrywał się w ciemną taflę stawu, który krył w sobie o wiele więcej tajemnic, niż można sobie wyobrazić. Słońce zaszło już dawno temu.

Starszy pan przeniósł swój wzrok na żonę i uważnie się jej przyjrzał. Jego niebieskie oczy były zamglone i puste. Po chwili popatrzył na niewielką wysepkę pośrodku stawu i miejsce, w którym kiedyś stała uroczą kawiarenka „Parkgaststätte”. Kobieta cicho westchnęła, ale mimo wszystko uśmiechnęła się ciepło do męża i wtuliła w jego ramię.

Wiatr kołysał do snu zielone korony drzew, usuwając z głowy
dziadka wspomnienia z ostatnich kilku godzin.

Urywki przyszłości

Ziemia, rok 2025. Kilka lat temu wybuchła wojna nuklearna, która doprowadziła do wyginięcia 90% ludzkości. Tylko nielicznym udało się przetrwać, bo zdołali dostać się do bunkrów przeciwatomowych. Miasta opustoszały, a kraje przestały istnieć. Poniższe opowiadanie przedstawia kartkę z dziennika osoby, która przetrwała to piekło:

Wpis 1.

Ruiny Pieszyca, rok (prawdopodobnie) 2025

Znalazłem te kartki papieru i długopis w niedawno plądrowanych domach, niedaleko rozpadającego się już mojego schronu. Nie mogę w to uwierzyć! To tylko kilka kartek papieru i jakiś ledwo działający długopis, a czuję się, jakbym znalazł zapas jedzenia na miesiąc. Jednak po tylu latach takie pamiątki cywilizacji przyprawiają o łzę w oku i nie mogę się powstrzymać, muszę coś napisać. Cokolwiek. Poczuć się wspaniale, jak kiedyś, i zapomnieć o wojnie. Nie wiem, ile stron mi wystarczy, ale postaram się aż do końca opisać, co się będzie działo podczas mojej „akcji”.

Wpis 2.

(darujemy sobie daty)

Jeśli chodzi o czas i miejsce, w jakim się teraz znajduję, to wiem jedynie, że jestem jedynym człowiekiem w okolicy i żyję tak około 10 lat.

Piszę „około”, ponieważ od wojny minęło sporo czasu, a trudno dostać kalendarz na rok 2025, gdy cywilizacja upadła prawdopodobnie w 2014 albo 2015 – już nie pamiętam. Nie chcę się rozpisywać na temat wojny, gdyż szkoda mi papieru, a piszę po to, by o niej zapomnieć.

W wielkim skrócie: od pewnego czasu jest źle, gdyż mój jedyny zapas jedzenia w starym hipermarkecie się wyczerpał. Wciąż nie mogę uwierzyć, że jeden człowiek dał radę się wyżywić przez 10 lat jedzeniem z hipermarketu. To była moja oaza, ale niestety wyschła. Muszę szukać następnej, nie mam wyjścia.

Na tym właśnie polega moja „akcja”. Jedyne niezniszczone miejsce to park miejski w sąsiedniej Bielawie. Tak, park... Niby głupio brzmi, że jedyna cywilizacja, jaka się ostała, znajduje się w parku. Byłem pewny, że ktoś w nim przetrwał, bo wykorzystano tam najnowocześniejszą technologię – technologię bariery. Dzięki temu można było tam zbudować samowystarczalne miejsce, które przetrwa naprawdę, naprawdę długo i uchroni wszystko, co się w środku znajdzie.

Było to budowane w tajemnicy przed wszystkimi, by grube ryby, które wywołały ten cały syf, tam się schowały i przeczekały sobie piekło, jakiego nam narobiły. Paranoja...

Nie miałem wyjścia, musiałem iść do tych zbrodniarzy i poprosić o azyl. Moja duma na tym ucierpi, ale kogo to obchodzi w dzisiejszych czasach... Trzeba przetrwać. To jest najważniejsze.

Wpis 3.

Już czas. Spakowałem najpotrzebniejsze rzeczy. Na szczęście znalazłem pojemny plecak i spakowałem pozostałości jedzenia, zapasy picia, medalionik, który mam sprzed wojny. Musiałem zostawić prawie wszystko, co uzbierałem przez te 10 lat. Zabrałem też kartki i długopis... Nie zostawię przecież czegoś, czego nawet nie dokończyłem – a nuż ktoś kiedyś to znajdzie i przeczyta. Mam taką nadzieję. Ale lepiej przestanę się rozpisywać, bo miejsca coraz mniej...

Wpis 4.

Nie mogę w to uwierzyć... Stoję właśnie przed czymś, co kompletnie nie pasuje do teraźniejszego krajobrazu. Istna oaza! Żyjący ludzie, zielone drzewa, ludzie pływają w łódkach, stoiska... Jakiś festyn? Festyn w tych czasach?! Co niby świętują?! Chorzy ludzie...

Ten widok jest nieprawdopodobny. Wszystko zniszczone, wokół

wciąż czuć to piekło, co się tu kiedyś wydarzyło, a tu, k..., ludzie mają festyn! Nie mogłem przejść obok tego miejsca obojętnie. Odezwały się we mnie moje dawne zdolności artystyczne. Musiałem to naszkicować... Choćby dla potomnych (miejmy nadzieję).

Wpis 5.

Naszkicowałem, ale jakim kosztem... Kartki mi zostało na jakieś kilka słów. Starczy tego wszystkiego! Idę tam do nich. Nie mogę się doczekać ich min, jak zobaczą człowieka, który był ich sąsiadem od 10 lat. Trzymajcie kciuki, jeśli to czytacie, bo wątpię, czy się dowiecie... Do (może) zobaczenia!

Latarnia Świętych Mórz

Marysia otworzyła zeszyt, który dostała na urodziny i zaczęła pisać.

Drogi pamiętniku!

Dzisiaj w naszym parku rozpoczął się Tydzień Superzabawy. Jest poniedziałek, a ponieważ są wakacje, jest tu straszny tłok. Ale za to ile atrakcji! Grill, dmuchana zjeżdżalnia, trampoliny i wiele innych rzeczy. Wszyscy najbardziej chcą popłynąć na „Kaczą Wyspę” pięknymi gondolami.

Mimo tej zabawy, śmiechu i radości, wcale się dobrze nie bawiłam. Przypomniała mi się złota latarnia, którą dostałam od babci, gdy byłam maluchem. Babcia powiedziała mi wtedy, że to Latarnia Świętych Mórz i mieszka w niej wielka magia, Moc Morskiego Oka, którą osiąść można, schodząc na dno stawu w dzień, który zdarza się raz na 10 lat. Wierzyłam w tę magię, póki nie opowiedziałam o niej koleżance, a ona powiedziała o tym całej klasie i wszyscy się ze mnie śmiali. Starałam się zapomnieć o tej latarni. Po jakimś czasie rzeczywiście zapomniałam. Ale kiedyś przy sprzątanu domu mama ją znalazła. Od razu wszystko mi się przypomniało: jak się ze mnie śmiali, wyzywali i mówili, że trzeba mi zająć miejsce w wariatkowie, bo jestem pomyłona.

Wieczorem, gdy rodzice poszli do kina, a moja siostra, Maja, poszła do koleżanki, zabrałam latarnię i wymknęłam się z domu. Pobiełam do parku. Tam zawsze czułam się najlepiej. Usiadłam na ławce nad stawem. Myślałam, jak się pozbyć latarni. Nagle usłyszałam głos. Ten głos nie dochodził do moich uszu! Słyszałam go w GŁOWIE. A gdy go słyszałam, czułam smak źródlanej wody, świeżych owoców, zapach kwiatów, widziałam pory roku, zwierzęta chowające się przed burzą. Smakowałam, czułam i widziałam. W jednej chwili! Głos mówił: „Moc należy do ciebie. Od kiedy dotknęłaś Latarni Świętych Mórz, Moc Morskiego Oka cię wybrała.

Będzie się w tobie rozwijać. Od teraz wokół ciebie będą dziać się różne dziwne rzeczy. Nie bój się. Moc ci pomoże. Ale by osiąść ją na zawsze i sprawić, by stała się potężna, musisz otworzyć latarnię w dzień zaćmienia, podczas którego wszyscy ludzie w twoim mieście będą szczęśliwi. Przejdiesz próbę, w której okaże się, czy jesteś gotowa osiąść Moc. Spiesz się! Zaćmienie nadchodzi!”.

Nie wytrzymałam wtedy i jak najmocniej cisnęłam latarnią w wodę. Gdybym miała tę jakąś tam „moc”, dzieci z klasy od razu zadzwoniłyby do zakładu dla chorych psychicznie. No bo jeśli ktoś w mojej klasie jest odrobinę inny od reszty, nie bawią się z nim, ignorują go i uważają za świra. A mnie do tej grupy dodali, kiedy raz na stołówce pośliznęłam się i już miałam uderzyć głową o podłogę, gdy nagle okazało się, że stoję na rękach. W jednym kawałku! Wtedy uwierzyłam, że mam Moc i pomyślałam, że gdyby nie ona, właśnie leżałabym rozłożona na podłodze, cała poobijana. Opowiedziałam o tym wszystkim Julce..., a ona... reszcie.

A teraz siedzę na tej samej ławce i wpatruję się właśnie w to miejsce, gdzie ostatnio widziałam latarnię.

– Za chwilę rozpocznie się kurs nurkowania! Chętnych prosimy o ustawienie się w kolejce przy niebieskiej altance! – ogłosił ktoś z głównych organizatorów festynu.

– Ja idę!!! – ktoś krzyknął bardzo głośno.

– Ja też! Uwielbiam nurkować! – zawołała jakaś dziewczynka.

– Wariatka! – usłyszała zza pleców Marysia.

Obejrzała się... „O nie! To Kaja! Ona z całej klasy najbardziej lubi się ze mnie śmiać!”. Zdenerwowała się.

– Maryśka, ty nie nurkujesz? Może jakiegoś wieloryba nam znajdziesz, co? – ciągnęła Kaja.

– Dobrze wiesz, że ja tu nie pływam. Nigdy nie wejdę do tej wody, bo tu utonęła moja babcia!

To była prawda. Wydarzyło się to 6 lat temu. Dokładnie 15 lipca 2009 roku.

– Maks, nie możesz tam nurkować! Chodź tutaj! Maks!!! – krzyknął wujek Marysi, nauczyciel wuefu, a z zamiłowania nurek.

– Marysia! To przypadkiem nie twoje? – nagle przed dziewczynką wynurzył się jej kuzyn Maks trzymający latarnię.

– O matko!... To znaczy, tak, to moje. Ale zostaw to, proszę, tam, nie po...

– To wkładaj piankę i bierz sprzęt. Nie chcę słyszeć „nie”! Włóż do wody! – nalegał chłopiec.

– Eee... no dobrze, poczekaj tu chwilę.

Pobiegła do altanki. Cały czas się zastanawiała, co takiego ważnego może być w tej wodzie.

– Już jestem! Powiesz mi wreszcie, co tam...

– Nie gadaj, tylko nurkuj! Tam jest coś, o czym babcia ci opowiadała! – zawołał, po czym pociągnął ją do wody.

„Jezu!... Nie wiedziałam, że nasz bielawski staw może być tak piękny! Wszystko dobrze widać i...” – dziwiła się Marysia.

– Płyn za mną! – powiedział Maks, co miało pewnie znaczyć: „Płyn za mną!”.

Jak kazał, tak zrobiła.

Nurkowali już chyba z pół godziny, gdy nagle...

– Zdejmij maskę! Nie bój się, tu jest powietrze! – polecił Maks.

„Jezu! Mój kuzyn oddycha pod wodą! Nie, to niemożliwe! Całkowicie zwariowałam! Zadzwońcie do szpitala, rozum mi odjęło!” – przebiegło zdumionej Marysi przez głowę.

– O matko, Maryśka! – mówiąc to, Maks zdjął maskę z twarzy kuzynki. – I co, podoba się?

Znajdowali się w przepięknej komnacie zrobionej z bursztynu.

– Ja... oszalałam... Całkowicie zwariowałam...

– Nie, nie zwariowałaś! Widzisz, mnie babcia też pokazała latarnię. I opowiedziała legendę o latarni Świętych Mórz i Mocy Morskiego Oka. Maryśka, JA MAM TĘ MOC. Ty też możesz ją mieć! Ja otworzyłem latarnię, gdy miałem rok! Przypadkiem. Ona mnie wybrała. Bez żadnych prób. Byłem bardzo malutki. A tutaj, w tej komnacie, czeka cię próba. Nie wiem, na czym będzie polegała, ale wiem, że powinnaś stanąć przed tymi drzwiami, otworzyć latarnię i wypowiedzieć słowa, które usłyszysz. Wtedy przystąpisz do tej próby. Kumasze?

– Tak, mniej więcej. No, okej. To otwieram! – i Marysia otworzyła latarnię.

Usłyszała ten sam głos, który słyszała tego wieczoru. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to głos babci:

– Ibo ad temptandum, mare habendum oculus, qui scripserit.

Marysia uśmiechnęła się. Znała niektóre słowa po łacinie. To akurat znaczyło: Podchodzę do próby, by osiąść Moc Morskiego Oka, którą mi pisano.

– Będziesz rozmawiać z Tenebris – mówił dalej głos. – Ona więzi Moc. Musisz ją przekonać, że jesteś gotowa tę Moc osiąść. Przez całą rozmowę musisz stać w Kręgu Światła. Jeśli przekroczysz krąg, Tenebris cię zgłodzi. Nie podawaj jej o sobie szczególnych informacji. Jest zaćmienie, a bardzo dużo ludzi się cieszy, więc Tenebris jest nieprzewidywalna. Zaćmienie dodaje jej siły, a radość mieszkańców tę siłę jej odbiera. Dlatego to wszystko dzieje się właśnie w tym dniu. Tenebris jest bardzo silna i mogłaby cię zniszczyć skinieniem głowy, a w zaćmienie nawet myślą. Lecz radość ludzi jej na to nie pozwala. Gdy będziesz stała w świetle, nic ci nie robi, lecz jeśli dotkniesz ciemności, radość ludzi ci nie pomoże. Uważaj. Bądź dzielna!

To z pewnością był głos babci. I nie mówił już po łacinie, lecz po polsku. Nagle... otworzyły się wielkie wrota. Za nimi była kolejna komnata, a na jej środku Krąg Światła. Na końcu komnaty, na złotym tronie z kielichem wody w ręku siedziała Tenebris.

Wyglądała pięknie. Jej czarne jak bezgwiezdna noc włosy opadały na białą suknię. Tylko jedno tam nie pasowało: oczy. Przepiękne błękitne oczy. Przepełnione radością, śmiechem i zabawą.

– Witaj, Reo – powiedziała Tenebris.

– Nazywam się Marysia, nie Rea – odrzekła dziewczyna, wkraczając w Krąg Światła.

– W moim świecie byłaś, jesteś i będziesz Reą. W moim świecie imię oznacza „dar wody”. Proroctwo mówi, że zjawi się wybraniec, by osiąść daną mu Moc. Nie będę tego łamać. Oddam ci Moc, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie.

– No dobrze. Co to za pytanie?

– „Czego najbardziej pragniesz?”

– Eee... więc tak: bardzo chciałabym osiąść tę Moc – gdy to mówiła, czuła się tak, jakby zbliżała się do ognia. – Chciałabym także, żebyś nie zrobiła mi krzywdy – teraz czuła się tak, jakby dotykała ognia. Nagle zrozumiała: przecież ona cały czas martwi się

o SIEBIE! A Maks? On może już nie żyć! Tenebris mogła go zabić! A ci ludzie na górze? Im też Tenebris może coś zrobić! Przecież to całe miasto!!!

Nagle ból ustał. Dziewczynka już wiedziała, co powie:

– Najbardziej na świecie chciałabym, żeby babcia wróciła. Żeby żyła. Bo zginęła przez ten staw. Przez tę wodę. – W tym momencie nie wytrzymała i przestąpiła okrąg. Chciała przyłożyć Tenebris za to, że zabiła jej babcię. Bo to ona zrobiła. Marysi nie obchodziło teraz, czy umrze, a jeśli umrze, to czy spotka babcię. Ale gdy weszła w ciemność, nie umarła. Kielich, który trzymała Tenebris, podleciał do dziewczynki. Marysia znowu usłyszała głos: „Wypij wodę”.

A kiedy wypila łyk wody z kielicha, Tenebris krzyknęła i... zniknęła. A na jej miejscu pojawiła się...

– BABCIA! – krzyknęła Marysia i pobiegła przytulić ukochaną osobę. Po chwili pojawił się Maks. Był cały i zdrowy. Nie mniej niż kuzynka cieszył się na widok babci. Ale dzieci wyglądały już inaczej: wypiękniały, miały niebieskie włosy (Marysia długie i proste), ubrane były w sukienkę (Marysia) i w koszulkę i spodenki (Maks) z GLONÓW. A oczy miały jak Tenebris.

– Blee... Mam gałki jak ta wiedźma – odezwał się Maks.

– To twój znak. Znak Mocy Morskiego Oka – powiedziała babcia.

– Marysiu, co ty robisz? – zawołał.

Dziewczynka utworzyła wodny wir.

– Przenoszę nas na górę – powiedziała, klasnęła w dłonie i cała trójka znalazła się na pomoście nad stawem.

Wszyscy zamilkli. Dopiero po chwili słychać było szepty:

– To Marysia, Maks i ich babcia. Co im się stało? Wyglądają jak z opowieści o Mocy Morskiego Oka.

Gdy szepty ustały, Marysia powiedziała:

– Nie mylicie się! Opowieść o Mocy Morskiego Oka to nie legenda. To prawda!

Randka

Ach, jak ciepło, jak przyjemnie, aż nie chce mi się wstawać z łóżka.

Zaraz, zaraz! Dzisiaj jest sobota! Najpiękniejszy dzień w moim życiu! W końcu zebrałem się na odwagę i zaprosiłem ją na randkę, a ona się na to zgodziła. Najpiękniejsza dziewczyna w szkole. Nie, najpiękniejsza dziewczyna na świecie! Wciąż trudno mi w to uwierzyć. No dobrze, leżenie w łóżku nic nie da, przydałoby się iść coś zjeść oraz się umyć.

Nie chce mi się nic gotować, więc zadowolę się kanapkami z szynką i serem. Smakują jakoś nadzwyczaj dobrze, a przecież to tylko chleb z szynką i serem.

O nie! Tylko nie to. Znowu nie ma ciepłej wody. Muszę się zadowolić zimnym prysznicem. Nie cierpię tego.

Hmmm. Co powinienem na siebie włożyć? Elegancką koszulę? A może jakąś zwykłą koszulkę i spodnie? Chyba mimo wszystko lepsza będzie elegancka koszula.

Została mi godzina do wyjścia. Zaczynam się coraz bardziej denerwować. A ogarnij się chłopie, nie ma powodu do nerwów! Bądź sobą, a wszystko będzie dobrze. W końcu lubi cię za to, kim jesteś.

Boże, gdzie ona jest? Spóźnia się już piętnaście minut. Mam nadzieję, że się mną nie bawi. Nie, ona taka nie jest! O! Widzę ją! Wygląda przepięknie w tej sukience. Co powinienem powiedzieć? „Wyglądasz przepięknie?” „Witaj piękna?” Czy po prostu: „Cześć?” Może się podroczyć: „Witaj spóźnialska! Przejdziemy się do sklepu z zegarkami? Przydałby ci się jeden?”. To by było zbyt wredne jak na pierwszy raz. Nie tym razem, może kiedyś. Jest już tak blisko.

– Cześć! Wyglądasz pięknie w tej sukience.

– Dziękuję, ty też dobrze wyglądasz.

- Co ty na to, żebyśmy poszli do parku? Trwa tam teraz festyn.
- Dobrze, chodźmy tam.

Uff! dobrze, że się zgodziła bo nie miałem lepszego pomysłu na dzisiaj. Na razie wygląda na zadowoloną. Posłuchaliśmy muzyki na koncercie, pooglądaliśmy występy, zjedliśmy pyszne jedzenie i wzięliśmy udział w kilku zabawach i konkursach. Nawet udało mi się wygrać dla niej wielkiego pluszowego misia.

To już czas. Według moich obliczeń, jeżeli teraz pójdziemy pływać gondolą, powinniśmy być w dobrym nastroju, kiedy zaczną się fajerwerki. A wtedy zostaje tylko jedno.

- Hej, chodźmy popływać gondolą.
- No, nie wiem, czy mam na to ochotę.
- Chodź, będzie fajnie, nie pożałujesz.

„Proszę zgódź się, zgódź się, zgódź się, zgódź się! Nie pozwól, by mój plan się nie powiódł!”

- To jak będzie?
- No dobrze. Chodźmy.

Tak! Zgodziła się! Teraz będę mógł wyznać jej swoje uczucia!

Niedobrze. Zaczyna mnie zjadać stres. Serce bije mi coraz mocniej, nie mogę wydusić z siebie ani słowa.

- Słuchaj, ja... ja... ja chcę ci coś powiedzieć. No, bo... ja cię kocham! Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia!

Powiedziałem to. Uff! Co za ulga. Co ona na to? Czemu tak patrzy?

- Ja... też cię kocham. Od dawna. Widziałam, jak na mnie patrzysz i czekałam. Czekałam aż podejdiesz.

A więc ona też to czuła. Wspaniale! Czyżby to był ten moment? Jej usta są coraz bliżej.

- Hej! Wszystko w porządku?
- Ach, tak! Po prostu się zamyśliłem. Coś się stało?
- Zaraz przyjdzie pan doktor.

No tak! Wróciłem do szarej rzeczywistości. A było już tak pięknie! Kto wie, może kiedyś taką osobę spotkam.

Oświadczyły

Panna Zosia szybkim krokiem szła przez bielawski park. Spieszyła się do pracy. Pomagała w kuchni u starszej pani Ludwig. Seniorka żyła samotnie, ale codziennie nakazywała gotować obfite obiady, jakby w jej domu mieszkała kilkunastoosobowa rodzina. Dlatego też kucharka potrzebowała pomocy. Zosia codziennie obierała, kroїła, siekała, zmywała i sprzątała. Nie była to praca jej marzeń, ale nie mogła na nią narzekać.

Każdego dnia szła do pracy przez park, mimo że tak nadkładała drogi. Gdyby go ominęła i poszła główną ulicą, dotarłaby do celu prawie dwa razy szybciej, ale nigdy nie chodziła tą trasą. Zawsze szła parkiem, bo w parku z łatwością można było usłyszeć własne myśli, a ostatnio Zosia miała o czym myśleć: miała dwóch adoratorów.

Antek był rzeźnikiem i podobał się jej rodzicom, bo był ustatkowany i miał dobrą pracę. Był postawny i trochę starszy, a jego twarz wyglądała posępnie. Zosi kojarzył się głównie z tą niezadowoloną miną, siwymi włosami na skroniach i z milczeniem. Antek nie był wylewny, ale w gruncie rzeczy był miły.

Rafał był w podobnym wieku co Zosia i miał głowę pełną zwariowanych pomysłów, o których często jej opowiadał. Był zupełnie niepoważny, ale umiał ją rozśmieszyć. Nie był majątny, ale radził sobie w życiu. Pracował dorywczo, miał konia i wóz i Zosia była pewna, że gdyby tylko chciał, znalazłby stałą, dobrą pracę. Uważała go za dobrego kompana, ale jej rodzicom nie podobał się wcale. Dla nich był lekkoduchem, który nie myśli poważnie o życiu, i woleliby, żeby wybrała Antka, Zosia zaś nie była pewna co do żadnego kandydata. Miała prawie dwadzieścia lat i chciała wyjść za mąż, ale marzył się jej przystojny i romantyczny gentelman, taki jak z powieści miłosnych, które tak często czytała. Chciała, by obsypywał ją kwiatami, pisał dla niej wiersze, zabierał na spacer w świetle księżyca, chciała czuć, że jest dla niego najważniejsza. Tymczasem dostawała spinki do wło-

sów, drewniane korale i tanie bransoletki, a spacerzy ograniczały się do coniedzielnego odprowadzania do domu po mszy. Niezależnie od tego, czy robił to Antek, czy Rafał, niewiele miało to wspólnego z romantyzmem.

Było jeszcze coś, o czym marzyła Zosia: ponad wszystko inne chciała popływać gondolą. To właśnie dlatego codziennie chodziła przez park – by choć zerknąć na staw gondolowy. Czasem widywała pięknie ubrane panie, które wraz z narzeczonymi pływały łódeczkami, i pragnęła być na ich miejscu. Było to pragnienie tak drogie jej sercu, że codziennie przed snem wyobrażała sobie, że płynie wspinałą gondolą z ukwieconymi girlandami, a wszyscy ludzie siedzący na tarasie widokowym i w Kawiarni Parkowej patrzą na nią jak na kogoś wyjątkowego. Była bardzo szczęśliwa, gdy tonęła w tych marzeniach, szybko jednak przychodziło otrzeźwienie i ponura rzeczywistość: niestety, żaden z jej adoratorów nawet nie pomyślał o tym, że Zosia marzy, aby popływać gondolą.

Dziewczyna czasami zastanawiała się, jakby to było pływać z którymś z nich. Gdy wyobrażała sobie w gondoli Antka, ogarniało ją rozbawienie. Oczami wyobraźni widziała, jak rośły, postawny mężczyzna kuli się i garbi w wąskiej łódce. Nie wiedzieć czemu, zawsze w tych wyobrażeniach miał na sobie swój rzeźnicki fartuch, który na szczęście był świeżo uprany, ale i tak psuł resztki nastroju. O ile takowe były. Rafał w podobnych wizjach spisywał się równie źle. Był bardzo wysoki i niesamowicie szczupły. Długie niczym szczudła nogi ledwo mieściły się w łódce. Kolana zasłaniały mu pół twarzy, a jakby tego było mało, w ogóle nie miał siły wiosłować i gondola zamiast płynąć, stała w miejscu...

Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że zbliża się czas, gdy będzie musiała wybrać jednego z nich. Na szczęście nikt nie naciskał. Rywale czekali cierpliwie, aż dziewczyna zdecyduje. Ona też czekała, choć sama nie wiedziała na co. Może na jakiś znak, na olśnienie albo oświadczyzny? Nie chciała wybierać, bo żaden z nich nie wydawał się jej odpowiedni. Z drugiej strony jednak chciała wyjść za mąż, a tylko tych dwóch miała do wyboru. Zupełnie nie wiedziała, co ma zrobić.

Rzuciła okiem na staw. Oświetlone przez majowe słońce puste gondole delikatnie kołysały się na wodzie. O tak wczesnej porze

park był nieco uśpiony, ale po południu zacznie tętnić życiem. Para łąbędzy sunęła środkiem stawu, rozcinając wodę. Przez chwilę Zosia zapomniała o swoich sercowych rozterkach i rozkoszowała się czarnym widokiem.

– Dzień dobry, panno Zosiu – cichy męski głos wyrwał ją z refleksji.

– Dzień dobry – odpowiedziała grzecznie.

To Jurek. Widywała go w parku codziennie. Znali się od dziecka. Czasem spotykali się na parafialnych piknikach i zamieniali ze sobą kilka zdań. Jurek był raczej nieśmiały, trochę stronił od ludzi i nie przepadał za hucznymi zabawami, pewnie dlatego, że utykał. Pomagał w Górny Młynie. Czasami Zosia zastanawiała się, co właściwie robił w parku, skoro młyn był w innej części miasta. Dlaczego codziennie był tu, skoro park był mu zupełnie nie po drodze? To pytanie przemknęło jej czasem przez myśl, ale nie dziś. Dziś myślała o czymś zupełnie innym i, jak się jej zdawało, równie nieistotnym. Nie chciała znowu skupiać się na swoich dylematach i postanowiła zostawić sprawy własnemu biegowi. Nie wiedziała, że już następnego dnia wszystko się wyjaśni.

Była niedziela. Po porannej mszy żaden z kawalerów nie czekał na pannę Zosię. Zdziwiła się, ale nie była tym zmartwiona. Wróciła do domu sama. Przebrała się w codzienną sukienkę i ruszyła do pracy. Już z daleka widziała, że w parku jest jakieś zamieszanie. Słychać było wrzaski i odgłosy walki. Gdy przedarła się przez tłumek gapiów, spostrzegła, że to Antek bije się z Rafałem. Obaj w odświętnych garniturach, a raczej tym, co z nich zostało, tarzali się po ziemi, szarpiąc się wzajemnie. Nawet głupi domyśliłby się, o co poszło, dlatego Zosia chciała się dyskretnie wycofać, ale gdy tylko ją zobaczyli, zaprzestali walki i zaczęli czołgać się w jej stronę.

– Niech Zosia wybierze mnie!

– Mnie! Mnie wybierz!

Krzyczeli naprzemian, szukając czegoś w kieszeniach porzucanych marynarek. W końcu obaj wyjęli małe, zgrabne pudełeczka i otworzyli je. I tak Antek z rozbitym nosem i Rafał z podbitym okiem poprosili pannę Zosię o rękę. Klęczeli w kurzu, na podeptanych kwiatach z dwóch bukietów, w podartych ubraniach, rozczochrani, patrząc błagalnie na Zosię i wyciągając w jej stronę pierścionki.

Dziewczyna na pewno w normalnych okolicznościach zauważyłaby, że pierścionki są śliczne, ale wtedy marzyła tylko o tym, żeby zniknąć.

– Ten od Antka ładniejszy – powiedział ktoś za jej plecami i wtedy Zosia uświadomiła sobie, że całej tej groteskowej sytuacji przygląda się tłumek gapiów.

– Nie wyjdę za żadnego! – krzyknęła z płaczem i pobiegła przed siebie. Zatrzymała się dopiero przed drzwiami do kuchni pani Ludwig. Cały dzień nie mogła przestać myśleć o tym, jak okropne widowisko urządzili jej byli adoratorzy. W najśmielszych snach nie wyobrażała sobie, że oświadczyny mogą być tak potworne. W książkach bohaterki zawsze mówiły „tak” w cudownych romantycznych miejscach, a same oświadczyny były tak piękne, że każda chciałaby, żeby trwały wiecznie, a ich wspomnienie nigdy nie przeminęło. Oświadczyny Antka i Rafała Zosia pragnęła jak najszybciej wymazać z pamięci. Niestety, zupełnie jej się to nie udawało. I nie tylko jej, bo ludzie długo jeszcze opowiadali o tym niecodziennym zajściu. Niefortunne oświadczyny wkrótce zostały przyćmione przez pewne niesamowite widowisko.

Był 3 czerwca. Zosia obchodziła swoje dwudzieste urodziny. Normalnie cieszyłaby się z tego wyjątkowego dnia, ale wspomnienie oświadczyn nadal odbijało się echem w jej głowie. Rodzice przygotowali mały tort i prezenty, które podarowali jej z samego rana. Zapowiadał się wspaniały, ciepły i słoneczny dzień i tym bardziej było jej tak żal, że nawet uśmiech przychodził jej z trudem. Ale po powrocie z pracy odwiedziło ją kilka koleżanek i spędziła całkiem miłe chwile w ich towarzystwie.

Późnym popołudniem ktoś zapukał do drzwi. Zdziwiona Zosia pobiegła otworzyć. Doręczyciel przyniósł paczkę, na wieczku której leżała biała róża. Przesyłka pochodziła z niedalekiego zakładu krawieckiego, a dołączony liścik niczego nie wyjaśniał. Na karteczce napisane było: „Założ mnie”. Rodzice zarzekali się, że nic o tym nie wiedzą. Panna Zosia szybko rozdarła pakunek. W pudełku znajdowała się piękna sukienka o najmodniejszym kroju. Biała, w drobne niebieskie kwiatki, z rękawem $\frac{3}{4}$ i plisowaną spódnicą. Do tego był jasny kapeluszek z wstążką z identycznego materiału. Zosia posta-

nowiła przymierzyć kreację. Wyglądała wspaniale. Przeglądała się w lustrze i przez moment wydawało się jej, że jest kimś innym.

Bajeczny sen przerwało pukanie. Zosia z trudem wróciła do rzeczywistości i z lekkim opóźnieniem otworzyła drzwi. Na zewnątrz nie było nikogo, ale na schodku leżała biała róża. Dziewczyna rozejrzała się. Nikogo nie dostrzegła, ale na końcu ścieżki znowu zobaczyła znajomy kwiat. Pobiegła w jego stronę. Kręciła głową w lewo i prawo, szukając kolejnych znaków. I tak różane tropy zaprowadziły ją do parku nad gondolowy staw. Spojrzała w stronę pomostu. Na jego końcu stał mężczyzna. Nie rozpoznała go, gdyż odwrócony był plecami. Obok niego kołysała się na wodzie najpiękniejsza gondola, jaką Zosia widziała w życiu. Miała wspaniałe zielone łuki i girlandy przybrane niezliczoną ilością białych róż. Dziewczyna nieśmiało ruszyła w stronę tajemniczego wielbiciela. Serce łomotało jej w piersi jak oszalałe. Skupiła wzrok na sylwetce mężczyzny. Nie przypominał ani Antka, ani Rafała. Usłyszał jej kroki, odwrócił się i wtedy promienie zachodzącego słońca oświełły jego twarz. To Jurek! Ale teraz wyglądał zupełnie inaczej. Ubrany w nowy garnitur, wyprostowany, z głową wysoko uniesioną i pewną miną nie przypominał przygarbionego chłopaka o cichym głosie, którego Zosia codziennie widywała w parku. Wręczył jej uroczy bukiet, oczywiście z białych róż, i gestem zaprosił do gondoli.

Stało się! Płynęła gondolą! W jej głowie kotłowało się tysiąc myśli. Płucom brakowało tchu. Serce chciało wyskoczyć z piersi, a ciało pokryła „gęsia skórka”. Dziewczyna czuła wiatr we włosach i nieziemski zapach róż. Sunęli powoli, mijając wiele łabędzi i kaczek, które przyglądały się im, kręcąc główkami. Zosia obejrzała się. Kładka była coraz dalej, tak jak taras i kawiarnia. Gondola zostawiała za sobą falującą wodę i unoszące się na niej płatki białych róż, a to wszystko w czerwieniach zachodzącego słońca! Dziewczyna nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała coś równie pięknego, nawet w swojej wyobraźni. Wszystko było idealne, a do tego Jurek wyglądał w gondoli jak powinien i wiosłował należycie.

Zosia spostrzegła, że zbliżają się do niewielkiej wyspy na środku stawu. To zwyczajne miejsce było teraz zupełnie odmienione, bo pokryte płatkami róż, tym razem czerwonych. Zosia wcale nie była

zmartwiona, że rejs gondolą się kończył. Przeczowała, że niebawem coś się wydarzy. Gdy stanęli na wysepce, Jurek spojrzał na nią tak, jak nikt jeszcze nigdy na nią nie patrzył. Ujął jej dłoń i położył na niej śliczne pudełeczko. Zosia otworzyła je i ujrzała najcudowniejszy pierścionek, jaki kiedykolwiek widziała. Złoty, z głęboko osadzonym fioletowym oczkiem. Idealny! Bez wahania włożyła pierścionek na palec. Nie mogła odmówić komuś, kto czyta w jej myślach. Jurek uśmiechnął się i przytulił ją mocno. Milczeli, bo słowa były zbędne.

Ciszę przerwało klaskanie. To ludzie zgromadzeni na brzegu stawu bili brawo. Zosi nie przeszkadzało, że patrzą. Była bezgranicznie szczęśliwa, bo spełniły się wszystkie jej marzenia. Za moment wsiadzie ponownie do gondoli. I to jako narzeczona!

Wszystko było cudowne! O niebo piękniejsze niż w książkach! Tak powinny wyglądać prawdziwe oświadczyń!

Teraz siedzę w łódce. Opowiadanie o sile miłości

Piękny słoneczny dzień, środek lata... Siedzę w łódce, a naprzeciwko mnie siedzi Paweł, mój ukochany. Jeszcze nie tak dawno nawet nie marzyłabym o takiej sytuacji. Miałam zaręczyć się z panem Wikto-rem. Dobra partia, człowiek sukcesu. Wiele dziewcząt marzyłoby o takiej wizji zamążpójścia, ale nie ja. Dla mnie ważna była miłość, a nie ślub z przymusu. Jednak moi rodzice nie chcieli tego przyjąć do wiadomości. Gdy dowiedziałam się o propozycji pana Wiktora, od razu powiedziałam o tym Pawłowi. Od tego dnia spotykaliśmy się w tajemnicy. Obmyślaliśmy plan wspólnej ucieczki. Dzień po dniu byliśmy coraz bliżej tej chwili. W środę mieliśmy się spotkać o 22.30 koło mostu Wiśniowego. Wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy miałam wziąć do walizki.

– Na moście czekać będzie na nas powóz i woźnica, którego opłaci-łem – powiedział mi Paweł.

Czas mijał szybko. W końcu nadeszła wyczekiwana środa. Ostatnie tajne przygotowania... Dzień minął równie szybko jak poprzednie. Nadszedł wieczór. Jako osoba przezorna byłam na miejscu dwadzieścia minut przed czasem, Paweł zresztą też. Między innymi dlatego się w sobie zakochaliśmy, że rozumiemy się doskonale, po-dzielamy swoje pasje i zainteresowania...

Miałam na sobie ciepłą kurtkę, ale i tak było mi zimno. Paweł za-uważył to i objął mnie ramionami.

– Boisz się? – zapytałam, spoglądając mu prosto w ciemne oczy.

– Oczywiście – odparł, biorąc w palce jasny kosmyk moich blond włosów. – Ale wierzę, że wszystko będzie dobrze, bo się kochamy, Loro.

Mocno wtuliłam się w niego i poczułam piękny zapach lawendy i świeżo skoszonej trawy. Dzięki temu uspokoiłam się trochę, a moje ciało przestało drżeć. Wtem usłyszeliśmy odgłosy nadjeżdżającego powozu. Ale wszystko było zbyt proste, żeby było prawdziwe. Pomi-

mo kojącej obecności Pawła miałam złe przeczucia. Sprawdziły się, niestety. Gdy miałam już wsiadać, nagle nie wiadomo skąd pojawili się nieznani mi mężczyźni, a na ich czele pan Wiktor.

– Myślałeś, że tak po prostu sobie z nią odjedziesz? – nieproszony gość zwrócił się do Pawła.

Bogacz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Poczułam, że Paweł mocno ściska moją rękę i przyciąga mnie do siebie. Nic to jednak nie dało. Trzech umięśnionych mężczyzn odciągnęło go ode mnie, a dwóch innych zajęło się mną. Wbrew mojej woli zawieziono mnie do rezydencji pana Wiktora. Byłam tam zamknięta przez miesiąc. Pan Wiktor był „tak łaskawy”, że poinformował mnie o tym, co zrobił z Pawłem.

– Odwieźliśmy tego parszywca do domu, ale wiedz, Loro, że zrobiłem to tylko ze względu na ciebie.

Jak można być tak ohydnie wyrachowanym? Od tej pory nie byłam w stanie jeść. Byłam głodna, ale mój organizm przyjmował tylko wodę. Nie odzywałam się prawie wcale. Z dnia na dzień byłam coraz słabsza. Czytałam tylko od czasu do czasu, bo na nic więcej nie miałam siły. Stale myślałam o Pawle i o weselu z panem Wiktorem. Rodzice odwiedzili mnie tylko raz.

– Nie wiem, co się z nią dzieje... – powiedział papa w sąsiednim pokoju.

– Wydaje mi się, że to pewnego rodzaju bunt – skwitowała mama.
– To przeminie.

Chyba rozmawiali jeszcze jakiś czas, ale byłam tak wycieńczona, że zasnęłam.

Mijały kolejne dni, a ja wciąż tkwiłam w rezydencji. Po miesiącu męki do pokoju, w którym byłam uwięziona, przyszedł pan Wiktor. W ręce trzymał moją walizkę. Był inny. W jego oczach malował się żal do samego siebie.

– Chcesz do niego wrócić, prawda? – uśmiechnął się kwaśno.

Pokiwałam potakująco głową. Nie byłam skłonna do niczego więcej, a na pewno nie do wydania z siebie jakiegokolwiek dźwięku.

– Dobrze zrobiłaś, że się zbuntowałaś – ciągnął dalej. – Teraz i ja zrozumiałem...

Jednym słowem: rozumiał, że nie byłabym z nim szczęśliwa,

a i jego nie satysfakcjonowałby taki obrót sprawy. Do tej pory nie wiem, co skłoniło pana Wiktora do zmiany zdania. Uwolnił mnie. Ludziom powiedzieliśmy, że nie byłam dla niego wystarczająco bogata.

Dzisiaj, czyli w dwa tygodnie później, w parku miejskim odbywa się festiwal. Paweł nie wyobrażał sobie, że mogłoby nas na nim zabraknąć.

– Jak tu pięknie! – przytuliłam się do niego.

Zieleń i kolorowe pąki późnych kwiatów mieniły się w ciepłych promieniach słońca. – Jest dużo ładniej niż zwykle...

Miałam na myśli, że jest ładniej, bo jestem z Pawłem. On się domyślił... Uśmiechnął się do mnie.

– Zobacz! – krzyknął i pociągnął mnie za sobą. – Musimy popływać! – wskazał na łódki sunące po wodzie, która lśniła jak miliony diamentów.

„Tak się poznaliśmy... – pomyślałam, widząc te łódki. – Obydwoje tego dnia chcieliśmy popłynąć łódką, ale była tylko jedna wolna...”

On pomyślał o tym samym. Zwróciliśmy ku sobie wzrok i uśmiechnęliśmy się do siebie. Rozmowa rozpoczęła się na nowo dopiero w łodzi, od słów Pawła:

– Loro, kocham cię...

Zwróciłam oczy ku niemu, a gdy chciałam mu odpowiedzieć: „Ja też cię kocham”, on mnie wyprzedził:

– Wyjdiesz za mnie?

Przytuliłam się do Pawła i pocałowałam go.

– To znaczy „tak”? – zapytał z uśmiechem. Jego piękne brązowe tęczyówki błyszczały.

– Tak – odwzajemniłam jego uśmiech.

Potem przytuliliśmy się do siebie i na długą chwilę zastygliśmy w pocałunku.

Parkowa tajemnica

Tylko w Bielawie był tak piękny park miejski! W parku tym było dużo atrakcji: można było popływać łodziami ozdobionymi pięknymi kwiatami, przechadzać się alejkami i zjeść coś pysznego w kawiarni. W tej kawiarni pracował Tomek, który wyglądał jak normalny mężczyzna, ale skrywał pewien sekret. Był wilkołakiem... Nauczył się jednak nie atakować ludzi podczas pełni księżyca i odżywiał się surowym mięsem kurczaków.

Do parku miejskiego często przychodziła pewna młoda kobieta – Asia. Była samotna, więc bardzo lubiła przebywać w kawiarni i rozmawiać z Tomkiem. Pewnego dnia Tomek ośmielił się i zaprosił Asię na przechadzkę po parku. Później zaproponował, żeby popływali łodzią po stawie. Gdy płynęli, kwiaty, którymi była ozdobiona łódź, pięknie pachniały, drzewa cicho szumiały, a woda delikatnie pluskała pod wiosłami. Tomek pomyślał, jak by to było pięknie, gdyby Asia została jego żoną. Obawiał się powiedzieć Asi, że jest wilkołakiem, zaryzykował jednak i wyjawiał swój sekret ukochanej. Asia, gdy to usłyszała, przestraszyła się i uciekła do domu.

W nocy, a była to akurat pełnia księżyca, z parku dobiegało żałosne wycie wilkołaka.

Rano dziewczyna przechadzała się smutna po parkowych alejkach. Usiadła na ławce pod dębem i zaczęła myśleć, czy zostać z Tomkiem, czy też nie. Zdecydowała, że skoro kocha Tomka, to z nim będzie, bo jest on dobrym człowiekiem i nie robi ludziom krzywdy.

Ślub odbył się szybko – Tomek nie chciał odwlekać momentu, gdy wspólnie zamieszkają. Razem żyło im się wspaniale. Tylko kiedy była pełnia, Tomek wychodził z domu, aby Asia nie oglądała jego przemiany. Po pewnym czasie na świat przyszły ich dzieci. Ku radości Asi nie były wilkołakami.

Cała rodzina często bywała w parku, Tomek nadal pracował w kawiarni. Był bardzo szczęśliwy i nie wyobrażał sobie życia bez Asi

i dzieci. Często wspominali pierwszą randkę i teraz już całą rodziną pływali łodzią po pięknym stawie w parku miejskim w Bielawie.

I tylko czasami, nocą, przy pełni księżyca, dało się słyszeć między drzewami wycie wilkołaka...

Marzenie nimfy

W pięknym mieście o nazwie Bielawa jest piękny park miejski. W tym pięknym parku miejskim jest staw, a obok stawu stała kawiarenka. Dlaczego „stała”, a nie „stoi”?

Otóż około 90 lat temu pod stawem znajdował się tunel. Należał do nimfy Hiacnty. Mieszkała tam od wielu lat, samotna. Jej tunel prowadził do pewnej kryjówki, z której był piękny widok na kawiarnię.

Nimfa uwielbiała patrzeć na ludzi. Codziennie się im przyglądała. Widziała, jak rozmawiają, jak powstają nowe miłości i przyjaźnie. Jej marzeniem było dotknąć jednego z ludzi, doświadczyć uczuć, których oni doświadczają. Chciała wypić kawę razem z nimi, a nawet przepłynąć się piękną łodzią ozdobioną girlandami i kwiatami. Niestety, każdy człowiek przestraszyłby się na jej widok, bo choć była pięknym i miłym stworzeniem, nie przypominała zwykłej osoby. Łudziła się, że ludzie potraktują ją łagodnie, ale bała się i gdy widziała jakąś kłótnię, od razu wycofywała się w obawie, że coś jej się stanie.

Po paru miesiącach do kawiarni przyjęto nowego kelnera. On jeszcze bardziej wzmaczał chęć Hiacnty do wyjścia do ludzi. Zaryzykowała i wyszła spod ziemi. Ale chodziła po parku w kapturze. Widziała skaczące po drzewach wiewiórki i śpiewające pięknie ptaki. Drzewa się kołysały, a liście o złotym kolorze spadały z gałęzi. Usiadła na ławce i zauważyła małą biedronkę, która pofrunęła w stronę stawu. Hiacnta podeszła nad wodę, ale bała się popłynąć łodzią. Bała się wejść do kawiarni, usiąść, wypić kawę. Nagle podszedł do niej mały chłopiec: – Przepraszam panią, gdzie jest moja mamusia? – zapytał.

Bezradna nimfa nie wiedziała, co zrobić. Żal jej się zrobiło dziecka, bo stało samo, bez mamy, taty, ale nie miała odwagi. Uciekła z przerażenia przed małym chłopcem. Wbiegła do swojej nory, a w jej uszach brzmiały słowa chłopca.

Po tygodniu stwierdziła, że teraz się odważy i wejdzie do kawiarni-

ni. Tym razem wyszła bez kaptura. Liście spadały jeszcze z drzew, a zlatujące kasztany stukały o kamienie. Weszła do kawiarni. Nagle młody kelner spojrzał na nią i...

– To potwór! – krzyczał, a ludzie uciekali w popłochu. Z kuchni wybiegali kucharze z nożami. Ludzie wrzeszczeli i biegali w bezładzie. Nie tak to sobie wyobrażała Hiacynta. Bezradna nimfa nie wiedziała, co robić. Wtem nagły huk sprawił, że krzyki ucichły i ludzie zamilkli. Był to wystrzał z pistoletu. Strzelił policjant wysiadający właśnie z łodzi. Hiacynta padła na kolana, a po sekundzie leżała już na podłodze kawiarni. Zamknęła oczy. Miała wrażenie, że coś z niej wylatuje. Wznosi się coraz wyżej i wyżej. Z góry widziała łódeczki z girlandami i staw.

– Teraz już zawsze to wszystko będę widzieć z przestworzy – pomyślała i zgasła.

By zapomnieć o tej sytuacji, kawiarnię zamknięto, łódeczki przestały pływać po stawie i nie wspomniano więcej o nimfie.

Wędrowka w czasie

Postanowiłam, że dzisiaj posprzątam na strychu. Dawno tam nie zaglądałam, a przydałoby się uporządkować kilka rzeczy. Na poddasze chodzę bardzo rzadko, ponieważ jest tam zimno i ponuro. Dokładnie trzynaście skrzypiących schodów prowadzi do niewielkich drewnianych drzwi zamykanych na klucz. Po ich otwarciu widać wiele kartonów, starych sprzętów, albumów ze zdjęciami i kilka reklamówek z ubraniami. Weszłam do tego pomieszczenia powoli, chcąc uniknąć poskrzypywania podłogi. Pomyślałam, że mogłabym zacząć od przełożenia albumów, ponieważ zajmowały bardzo dużo miejsca. Aby zrobić to jak najszybciej, poukładałam jeden na drugim i próbowałam włożyć je do pustego kartonu.

Wszystko było w porządku, dopóki album, który leżał najwyżej, nie zachwiał się i nie spadł na podłogę, wysypując przy okazji wszystkie zdjęcia, jakie były w nim ułożone. Odłożyłam więc resztę książek i zabrałam się do zbierania fotografii. Przyglądając się im dokładniej, zauważyłam, że są to zdjęcia z mojej młodości. Na czarno-białym znalezisku ujrzałam moja klasę gimnazjalną. Miałam wtedy długie, piękne, czarne włosy. Na innym zdjęciu znajdowałam się z moją licealną przyjaciółką, Justyną: siedziałyśmy na ławce w naszym bielawskim parku. Byłyśmy wtedy nierozłączne. Jak ja dawno jej nie widziałam! Ciekawe, co u niej słychać? Mam nadzieję, że sobie dobrze radzi. Tak bardzo tęsknię za licealnymi czasami. Chciałabym znowu przeżyć ten piękny okres mojego życia!

Pamiętam, że już pierwszego dnia w nowej szkole bardzo mi się podobało. To było dokładnie 1 września 1929 roku. Wchodząc do budynku i mijając długie korytarze, czułam na sobie wzrok wszystkich ludzi, których widziałam prawdopodobnie pierwszy raz w moim życiu. To nie jest przyjemne uczucie. Kiedy dotarłam do auli i odbył się apel, czułam, że już należę do tego miejsca. „To będą niesamowite trzy lata!” – tak sobie pomyślałam. Potem udałam się do klasy

i musiałam się przywitać z moimi nowymi koleżankami. Ujrzałam wówczas bardzo ładną krótkowłosą i szczupłą dziewczynę. Zauważyłam ją, ponieważ siedziała sama w ostatniej ławce. Czytała książkę. Pamiętam, że był to „Makbet”. Postanowiłam z nią porozmawiać – w końcu ja też przyszłam tutaj sama, bez żadnych znajomych.

– Cześć! – krzyknęłam. – Jak się nazywasz?

– Cześć, nazywam się Justyna. A ty? – zapytała ciemnowłosa.

– Wiktoria, ale możesz mówić do mnie Wiki.

I tak właśnie zaczęła się nasza trzyletnia przyjaźń.

Kolejne zdjęcie, jakie miałam przed sobą, przedstawiało naszą nauczycielkę. Miała na sobie czapkę Mikołaja. Nie do wiary, że nie zauważyła, jak robimy jej to zdjęcie. Wyszła bardzo zabawnie. To były nasze pierwsze mikołajki spędzone w gronie klasy I a.

Przypominałam sobie, że tego 6 grudnia biegłam do szkoły, jak zwykle, spóźniona. Pompon od mikołajkowej czapki łaskotał mnie w nos. Nie odrobiłam wcześniej zadania z geografii, więc postanowiłam zrobić to rano, przed wyjściem do szkoły. Jak się potem okazało, był to kiepski pomysł. Do szkoły dobiegłam kwadrans po ósmej. Na pierwszej lekcji mieliśmy matematykę. Bardzo nie lubiłam tego przedmiotu – za dużo działań, cyfr i obliczeń, ale udało mi się wytrwać do końca lekcji. O godzinie 9.00 planowany był mikołajkowy apel. Miały być owoce, cukierki i tony słodczy. Uwielbiałam słodczyce! Jednakże warunkiem dostania czegoś słodkiego było posiadanie czerwonej czapeczki, a ja na szczęście ją miałam. Jak zawsze zabrałam też ze sobą aparat. Chciałam uwiecznić możliwie każdą chwilę mojego życia. Właśnie wtedy, kiedy siedzieliśmy przy stole, robiłam zdjęcia wszystkim z osobna, również naszej pani. Chciałam je potem podarować, ale stwierdziłam, że zachowam dla siebie. I to był bardzo dobry pomysł, ponieważ mogę je dzisiaj oglądać.

Ostatnim zdjęciem, które przykuło moją uwagę, było to, które zrobiliśmy na wycieczce szkolnej, kiedy wspólnie przechadzaliśmy się po mieście. Zdjęcie wykonaliśmy w naszym pięknym parku. Wszyscy byliśmy uśmiechnięci od ucha do ucha. To był dzień wart zapamiętania! Wycieczka odbyła się chyba w maju, pod koniec trzeciej klasy liceum. Taka jakby pożegnalna. Tego dnia było bardzo ładnie. Świeciło słońce i nie było żadnej chmury na niebie. Wybraliśmy

się wspólnie do parku na piknik. Zabraliśmy przekąski, piłki i karty. Zorganizowaliśmy też wyścigi na gondolach. Jak zawsze dawałam z siebie wszystko! To nieważne, że byłam cała mokra – grunt, że zdobyłam drugie miejsce. Pierwsze, jak zwykle, zdobył Patryk. Pamiętam, że on zawsze był dobry w sportach wodnych. Kiedy nadszedł czas na grę w karty, zrobiło się dość wietrznie, przez co nasza rozgrywka zamieniła się w grę w berka: my przeciw uciekającym kartom. Kilka zwało nam do wody, ale resztę uratowaliśmy. Było przy tym mnóstwo śmiechu i zabawy. Na końcu zrobiliśmy sobie razem pamiątkowe zdjęcie na kocu. Za nami roztaczał się piękny widok na bielawski park, zielone drzewa, pływające gondole i przystań. Pamiętam, że wszyscy się wygłupiali i nie mogłam ich złapać w kadrze. Na szczęście potem wymieniałam się z panią, aby móc samej pojawić się na klasowej fotografii. Gdyby nie to, wiele by mnie ominęło!

Cieszę się, że dzięki tym zdjęciom miałam możliwość „przeniesienia się w czasie” do najlepszych lat mojej młodości, powspominania najmilszych momentów spędzonych wśród koleżanek i kolegów z klasy oraz przypomnienia sobie dawnych wspaniałych przeżyć.

Posprzątałam leżące na podłodze zdjęcia i schowałam je ponownie do albumu. „Czeka mnie tu jeszcze dużo pracy!” – westchnęłam.

Spis treści

Poezja

Barbara Bulerska, <i>Tato</i>	7
Dorota Ciszewska, <i>Wspomnienie</i>	8
Maja Czapla, <i>Niedziela w parku</i>	9
Stella Derdowska, <i>Miejski las</i>	10
Oliwia Fedko, <i>Bielawski park</i>	11
Natasza Fior, <i>Bielawa</i>	13
Marta Gdula, <i>Tafla jeziora</i>	14
Maria Grabowska, <i>W bielawskim parku</i>	15
Wiktoria Handwerkier, <i>O miejscu zwanym Parkiem Miejskim</i>	16
Krzysztof Jadwinczyn, <i>W bielawskim parku</i>	17
Marta Kaczmarek, <i>Nadal czuję</i>	18
Aleksandra Krakowiak, <i>Czarno-biała historia</i>	20
Piotr Krakowiak, <i>W bielawskim parku</i>	22
Szymon Kuriata, <i>Pory roku w bielawskim parku</i>	23
Agnieszka Letniowska, <i>Dawno temu w Bielawie</i>	24
Aleksandra Lewicka, <i>Mój wymarzony park</i>	25
Igor Machowski, <i>W parku</i>	26
Maria Maciejewska, <i>Magiczne miejsce</i>	27
Aleksandra Matejczuk, <i>W bielawskim parku</i>	28
Michał Morasz, <i>Bielawska zagadka</i>	29
Hanna Niedziela, <i>Bielawskich wspomnień czar</i>	30
Krzysztof Pasek, <i>Lata trzydzieste, lata trzydzieste</i>	32
Natalia Pasek, <i>W bielawskim parku</i>	33
Irena Piekarz, <i>Pelen uroku letni obrazek</i>	34
Natalia Pompa, <i>Jest w Bielawie park wspaniały</i>	35
Magdalena Rumin, <i>Historia pewnego parku</i>	37
Barbara Rupa-Wróblewska, <i>Zakątki Bielawy</i>	39
Izabela Sędziwa, <i>Bielawski park</i>	40
Alicja Stępień, <i>Oko z bielawskimi wspomnieniami</i>	41
Kacper Środoń, <i>Tajemnicza skrzynia</i>	43

Julia Urbanowicz, <i>Nasz park</i>	44
Angelika Warchoła, <i>Wspomnienia</i>	45
Jakub Wojtanowski, <i>Sposób na nudę</i>	46
Krzysztof Wróblewski, <i>Marność</i>	48
Monika Zagała, <i>W kolorowym parku</i>	50

Proza

Martyna Adamarek, <i>Wiosenny festyn</i>	53
Milena Augustyn, <i>Miłe wspomnienia</i>	55
Nikola Bielak, <i>Nie taki dzień straszny, jak się zapowiadał</i>	56
Patrycja Czyżewska, <i>W bielawskim parku</i>	61
Norbert Finke, <i>Nadzieja</i>	64
Weronika Furcoń, <i>W bielawskim parku</i>	68
Weronika Głębocka, <i>Wspomnienie</i>	70
Rafał Januszkiewicz, <i>Ósmy kolor tęczy</i>	72
Ewelina Koniusz, <i>W bielawskim parku</i>	75
Urszula Kowalewska, <i>Zaproszenie do przeszłości</i>	78
Maksymilian Krawiec, <i>Drogi pamiętniku!</i>	80
Julia Kurzawa, <i>Das Sommerfest</i>	81
Klara Latoś, <i>Zapach jabłek</i>	88
Michelle Łuczak, <i>Miłosne wspomnienie</i>	95
Weronika Maciak, <i>Sen czy jawa?</i>	99
Mikołaj Maciejewski, <i>Stara fotografia</i>	100
Zdzisław Maciejewski, <i>Tajemnice bielawskiego parku</i>	102
Beata Malinowska, <i>Bielawski park</i>	107
Sandra Nikoniuk, <i>Historia sprzed lat</i>	109
Maja Plak, <i>Historia</i>	113
Anna Radziejewska, <i>Bielawianka i wampir – spotkanie na stawie</i>	117
Kamila Rochna, <i>Zapomnienie</i>	122
Radek Rycąbel, <i>Urywki przyszłości</i>	127
Jagoda Siwik, <i>Latarnia Świętych Mórz</i>	130
Damian Sojka, <i>Randka</i>	135
Bożena Tomaszek, <i>Oświadczyły</i>	137
Nicola Wałachowska, <i>Teraz siedzę w łódce.</i>	
<i>Opowiadanie o sile miłości</i>	143

Barbara Zawrotniak, <i>Parkowa tajemnica</i>	146
Tatiana Zawrotniak, <i>Marzenie nimfy</i>	148
Aleksandra Żuławnik, <i>Wędrówka w czasie</i>	150

W serii *Sudecka poezja i proza* dotychczas ukazały się:

- *Sudecka poezja i proza I, I Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Ryszard Mierzejewski, *Sudecka poezja i proza II, Zraniony różą*, Bielawa 2013.
- Urszula Kowalewska, *Sudecka poezja i proza III, Warkocze*, Bielawa 2013.
- Jan Sitnik, *Sudecka poezja i proza IV, Wspomnienia z Kosowa Huculskiego*, Bielawa 2013.
- Marek Cieśla, *Sudecka poezja i proza V, Im...*, Bielawa 2013.
- Zygmunt Iwaszkiewicz, *Sudecka poezja i proza VI, Vanitas*, Bielawa 2013.
- *Sudecka poezja i proza VII, II Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2013.
- Zdzisław Maciejewski, *Sudecka poezja i proza VIII, Pejzaże sowiogórskie*, Bielawa 2014.
- Adam Lizakowski, *Sudecka poezja i proza IX, Bielawa Randka Trzech Sylab*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza X, Bielawa lekcja historii na murze*, Bielawa 2014.
- Tadeusz Żurawek, *Sudecka poezja i proza XI, Zaśpiewam ci pieśń*, Bielawa 2014.
- *Sudecka poezja i proza XII, III Konkurs Literacki Na Utwór Inspirowany Fotografiami Bielawy*, Bielawa 2014.
- Maria Grabowska, *Sudecka poezja i proza XIII, Kalejdoskop barw*, Bielawa 2015.
- Roman Styrcz, *Sudecka poezja i proza XIV, Opowiadania myśliwskie*, Bielawa 2015.